REPORTERZY „WYBORCZEJ" POLECAJĄ

LEPSZE OD GÓR SĄ TYLKO GÓRY

Alpiniści, himalaiści, turyści

Kolekcja prenumeratorów „Wyborczej"

1 TOM

REPORTERZY „WYBORCZEJ" POLECAJĄ
LEPSZE OD GÓR SĄ TYLKO GÓRY
Alpiniści, himalaiści, turyści
Kolekcja prenumeratorów „Wyborczej"
1 TOM

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SPIS TREŚCI

Lepsze od gór są tylko góry

- OD TATERNICTWA PO HIMALAIZM ZIMOWY
- PIERWSZA POLSKA WYPRAWA W HIMALAJE
- WANDA, CO CHCIAŁA BYĆ WOLNA
- SLACKLINE, CZYLI SPACER BEZ ASEKURACJI
- IGRZYSKA ŚMIERCI I PRZEMILCZANE OSZUSTWA
- MUSIELI UCIEKAĆ W PANICE
- LODOWI WOJOWNICY BOJĄ SIĘ KOBIET
- SCHODZĄC, ZOBACZYLIŚMY SIEDZĄCE CIAŁO
- KUKUCZKA: OD ŚMIERCI W DOLINACH ZACHOWAJ NAS, PANIE
- REINHOLD MESSNER: KONIEC ZIMOWEGO HIMALAIZMU
- MAREK RAGANOWICZ: POKONAJ ŻYWIOŁ!
- ANDRZEJ BARGIEL. NAJSZYBSZY POLSKI HIMALAISTA
- DWADZIEŚCIA DNI W ŚCIANIE

Reporterzy „Wyborczej” polecają: Lepsze od gór są tylko góry

Od taternictwa po himalaizm zimowy

PIOTR GŁUCHOWSKI

FOT. DANIEL PRUDEK/SHUTTERSTOCK

Turyści w drodze na Mount Everest.

Teksty, które wybrałem dla Państwa w pierwszym tomie nowej serii, tworzą obraz światowej i polskiej wspinaczki, ale jest to z konieczności płótno impresjonisty: coś z sowieckiego Uralu, coś ze współczesnych Himalajów, coś z Polski. Aby się lepiej zorientować w świecie „lodowych wojowników”, proponuję na początek mały

samouczek (znawcy tematu mogą go ominąć). Czym jest alpinizm? Czym jest himalaizm? Dlaczego ten drugi dzieli się na letni i zimowy? Gdzie są w tym wszystkim Polki i Polacy?

Zaczynajmy!

Alpinizm to sport, który nie musi mieć niczego wspólnego z Alpami. Obejmuje każdy rodzaj wspinaczki wymagający przygotowania i specjalistycznego ekwipunku, jak np. wspinaczka skałkowa, wspinaczka wysokogórska, eksploracja jaskiń, a nawet narciarstwo wysokogórskie.

W Polsce określało się niegdyś ten sport taternictwem. Inne nacje mają na to swoje zbitki słowne – niemieckie Bergbesteigung, czeskie i słowackie horolezectvo, angielskie mountaineer czy hiszpańskie montañismo.

Powszechnie uznaje się, iż inicjatorem alpinizmu w sensie dosłownym (rozumianego jako poznawanie i zdobywanie Alp metodami wspinaczkowymi) był szwajcarski przyrodnik Horacy-Benedykt de Saussure – profesor Uniwersytetu w Genewie w latach 1762-86. Badał geologię, rzeźbę i klimat Alp, w 1760 r. po raz pierwszy odwiedził Chamonix i wyznaczył nagrodę dla tego, kto odnajdzie drogę wejściową na szczyt Mont Blanc. 3 sierpnia 1787 r. sam dokonał wejścia i obliczył wysokość szczytu na 4775 m, co – biorąc pod uwagę ówczesne możliwości pomiarowe – było dobrym wynikiem (dziś przyjmujemy, że Biała Góra ma 4808,72 m).

Teraz himalaizm. Jest to sport zaliczany przez firmy ubezpieczeniowe do kategorii ekstremalnych – tak jak wyścigi Formuły 1, swobodne nurkowanie czy szybownictwo (Encyklopedia ekstremalnych sportów, wyd. 1997). Podobnie jak alpinizm nie musi być uprawiany

w Alpach, tak himalaizmem zwie się wszelkie formy aktywności w górach, w których wysokość szczytów przekracza 7000 m n.p.m. Są to Karakorum, Kunlun, Hindukusz, Pamir, Tien-szan i Daxue Shan w Chinach.

Himalaiści wyróżniają kilka stylów w zdobywaniu wierzchołków. Najstarszym i najpopularniejszym jest styl oblężniczy (wyprawowy). Ekipa tworzy u podnóży góry bazę, z której organizowane są kolejne próby ataku polegające na poręczowaniu fragmentów drogi, budowie obozów przejściowych, transportowaniu do nich zapasów żywności. Finałem jest budowa obozu podszczytowego, z którego wreszcie organizuje się ostateczny atak. Ten przeprowadza szpica – wybrane 3-4 osoby, które były przez cały czas „oszczędzane", aby zachować maksymalnie dużo sił.

Styl alpejski polega z grubsza na tym, że samotny wspinacz lub nieliczna grupa ogranicza sprzęt do minimum, tak aby samotnie dostarczyć go pod szczyt, który jest atakowany bezpośrednio z jedynej bazy bez obozów pośrednich i poręczowania.

W stylu solowym pojedynczy wspinacz bierze ze sobą tylko tyle sprzętu, ile jest w stanie unieść. Czasami zdarza się, że śmiałek korzysta gościnnie z bazy dużej wyprawy, która szykuje się na jakiś pobliski szczyt.

Prawdopodobnie pierwszymi Polakami w Himalajach byli Bronisław Grąbczewski (w roku 1889 dotarł pod północną ścianę K2) i Jan Gołaszewski, uczestnik powstania listopadowego, który po zesłaniu na Syberię uciekł do Chin. Zasłynął na dworze cesarskim jako znakomity geograf i geolog. Cesarz Daoguang wysłał go w rejon Karakorum, gdzie Gołaszewski zmierzył szczyty i nadał im nazwy. Przy pomiarach góry zwanej obecnie K2 pomylił się o metr.

Historia polskiego himalaizmu zaczęła się w latach 30. XX wieku. W 1936 r. powołano Komitet Himalajski Klubu Wysokogórskiego, a pierwsza wyprawa w Himalaje odbyła się w 1939 r. Polacy zdobyli wówczas dziewiczy wschodni wierzchołek Nanda Devi (7816 m).

Gdy komunizm odciął Polskę od świata, himalaiści z Zachodu zdobyli wszystkie 14 ośmiotysięczników. Polscy wspinacze rzucili więc nowe wyzwanie: zdobądźmy te same góry zimą. Prekursorem takiej wspinaczki był słynący z pierwszego zimowego przejścia grani głównej Tatr Andrzej Zawada, który 13 lutego 1973 r. wraz z Tadeuszem Piotrowskim zdobył Noszak (7492 m). Było to pierwsze wejście człowieka zimą na szczyt siedmiotysięczny.

W roku 1974 zorganizowano jesienno-zimową wyprawę na Lhotse. 25 grudnia Andrzej Zawada i Andrzej Heinrich osiągnęli wysokość 8250 metrów, co było pierwszym w historii przekroczeniem wysokości 8 tys. zimą.

W kolejnych latach polscy wspinacze zdobywali zimą: Mount Everest (1980), Manaslu (1984), Dhaulagiri i Czo Oju (1985), Kanczendzongę 1986, Annapurnę (1987), Lhotse (1988).

Następne pierwsze zimowe wejście na ośmiotysięcznik (Sziszapangma) udało się dopiero w roku 2005 – górę zdobyli Piotr Morawski i włoski wspinacz Simone Moro. Następnego pierwszego zimowego wejścia dokonali Adam Bielecki i Janusz Gołąb, którzy w marcu 2012 r. zdobyli Gaszerbrum I.

5 marca 2013 r. pierwsze zimowe wejście na Broad Peak zaliczyli Maciej Berbeka, Adam Bielecki, Tomasz Kowalski i Artur Małek. W efekcie 10 z 13 zimowych wejść na ośmiotysięczniki należy do Polaków.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Pierwsza polska wyprawa w Himalaje

– Nie wolno było wchodzić na ten lodospad. Nie wolno tam było brać chłopaka, który nigdy w życiu nie widział lodowców – mówił Zdzisław Czarnecki, uczestnik pierwszej powojennej wyprawy Polaków w Himalaje.

MAŁGORZATA DOMAGAŁA

FOT. ZYGMUNT NASALSKI

Lubelska wyprawa w Himalaje z 1973 r.

8 lipca 1973 r. o dziewiątej rano uczestnicy lubelskiej wyprawy w Himalaje zbierają się pod Wojewódzkim Ośrodkiem Sportu, Turystyki i Wypoczynku w Al. Zygmuntowskich (pod dzisiejszym MOSiR-em), skąd autokar przewiezie ich na pociąg do Terespola.

Uczestnicy wyprawy to: Zbigniew Stepek, Teresa Rubinowska, Zdzisław Jerzy Czarnecki, Tadeusz Śmieciuszewski, Andrzej Klimowicz, Andrzej Grząźek, Andrzej Kucyper, Jan Kubit, Zygmunt Nasalski, Józef Płonka, Andrzej Rządkowski, Edward Zawadzki.

To pierwsza powojenna polska wyprawa w Himalaje Zachodnie. Dwa lata wcześniej Polacy odnoszą sukces, zdobywając 22. szczyt świata – Kunyang Chhish (7852 m, pasmo Karakorum uważane przez niektórych za część Himalajów).

W przeddzień wyjazdu uczestników wyprawy uroczyście żegna w ratuszu prezydent miasta Stanisław Bora. Przekazuje proporzec Lublina i prosi, by wetknąć go na szczycie zdobytej góry.

Jadą jajka na racuchy

W Himalaje wyrusza dwanaście osób, a z nimi aż dwie tony bagażu zapakowanego w czerwone pojemniki. Są w nich namioty, sprzęt wspinaczkowy, buty do chodzenia w wysokich górach i zapas jedzenia na trzy miesiące. Żywność udało się zebrać w masarniach, piekarniach i chłodniach całego województwa. Zakłady drobiarskie dały konserwy, jedna ze spółdzielni pszczelarskich podarowała miód. Ale w słoikach. A ponieważ słoiki na taką wyprawę są za ciężkie, zakłady mięsne przepakowały go w metalowe puszki. Jadą też jaja w proszku używane w przemyśle – to szczególne cenna, bo kaloryczna, zdobycz, z której Teresa Rubinowska – jedyna kobieta

biorąca udział w tej wyprawie (matka czworga dzieci, tłumaczka języka niemieckiego) – będzie smażyła nawet racuchy.

Cel wyprawy to Himalaje na terenie Indii. Ale samo dotarcie do górskiej bazy, z której będą zdobywać dziewicze sześciotysięczniki, jest już wyczynem. Dziś zajęłoby to kilka dni, w latach 70. trwało cztery tygodnie.

Pociąg z Terespola zawiózł uczestników jedynie do Brześcia na terenie dzisiejszej Białorusi. Tam trzeba było przesiąść się na pociąg do Moskwy i ręcznie przeładować bagaż. Tę czynność uczestnicy będą powtarzać wielokrotnie zanim dotrą do celu. Podróż koleją przez ZSRR do granicznego Termezu zajmuje z przerwami osiem dni. Dalej przez Afganistan, Pakistan i Indie wyprawa wraz z bagażem korzysta z przygodnie zatrzymanych ciężarówek, pociągów, kolei wąskotorowych i autobusów z wielkimi bagażnikami na dachu. W Kabulu zamach stanu i obalenie króla Zahir Szaha zatrzymuje lubelskich himalaistów na kilka dni.

Czasy na worek bieszczadzki

Doświadczenie w górach? Wszyscy uczestnicy wyprawy byli członkami Klubu Wysokogórskiego, mieli uprawnienia wspinaczkowe. Trzon wyprawy stanowili wspinacze mający za sobą wiele bardzo trudnych dróg, przejść letnich i zimowych w Tatrach, wspinaczki w Alpach i w górach wysokich, takich jak Ałtaj Mongolski i Hindukusz. Niemal każdy z nich zaczynał przygodę z górami od przejść turystycznych letnich i zimowych na nartach.

– To były czasy zdobywania zimą tzw. worka bieszczadzkiego [terenu między pasmem polskich Bieszczadów Wysokich a granicą z Ukrainą], co wcale nie należało do łatwych przedsięwzięć. Po

pierwsze, było to nielegalne, więc robiło się to na ogół w księżycowe noce, klucząc między patrolami sowieckimi i Wojsk Ochrony Pogranicza. Nie było schronisk, kurtek puchowych, karimat i namiotów. Spanie na śniegu przy ogniu odstraszającym niedźwiedzie. Zmęczenie nieludzkie, ale potem świetna kondycja – wspomina jeden z uczestników himalajskiej wyprawy Zygmunt Nasalski, dziś dyrektor Muzeum Lubelskiego (w 1973 r. miał 30 lat, pracował w muzeum).

Wyprawą dowodzi 41-letni Zbigiew Stepek, absolwent polonistyki na KUL i szef redakcji literackiej w lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia. W Polsce zostawia żonę i kilkunastoletnią córkę. W Himalaje jadą z nim m.in. lekarze i inżynierowie lotniczy zatrudnieni w WSK „Świdnik".

Pożyczki na góry

Wyprawa w Himalaje była ogromnym wysiłkiem organizacyjnym i finansowym. Jej uczestnicy – jak wszyscy obywatele PRL-u za czasów Gierka – mogą mieć ze sobą po 150 dolarów na zasadach tzw. promesy. To musi wystarczyć na jakieś trzy miesiące trwania wyprawy i na wszystkie opłaty. Oszczędzają więc na wszystkim – tragarze górscy wynoszą do tzw. bazy wysuniętej (założonej powyżej bazy głównej) tylko część ładunków, resztę transportują sami uczestnicy.

Wyprawa niemal w całości opłacana jest przez uczestników. Niejeden z nich się zapożycza. Sam paszport kosztuje 7 tys. zł (przy średnich zarobkach 2-3 tys. zł), do tego dochodzą jeszcze koszty transportu, rzeczy osobiste...

Z własnej kieszeni nie trzeba kupować jedynie sprzętu wspinaczkowego, butów wysokościowych, śpiworów, kurtek puchowych, namiotów, bo te zafundował Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki. Raki i śruby lodowe wykonała dla wyprawy Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku. Za gogle służyły niekiedy okulary do spawania.

Leki dała Centrala Farmaceutyczna „Cefarm" (te, które się nie przydały, zostały potem przekazane małej lecznicy misyjnej dla tybetańskich uchodźców w Manali). Aby zmniejszyć koszty wyprawy, po jej zakończeniu lubelscy himalaiści posprzedawali też część swoich rzeczy. To powszechny zwyczaj na wyprawach.

Lawina seraków

W Delhi lubelska grupa musiała dostać jeszcze pozwolenie na działalność w górach. Władze indyjskie zgodziły się na rejon Lahul – lodowiec Batal z otaczającymi go niezdobytymi wówczas szczytami oznaczonymi jako CB11, CB12 i CB13, CB13A i CB14.

Po założeniu bazy na wysokości 4709 m 14 sierpnia trzyosobowy zespół pod kierownictwem 39-letniego Zdzisława Czarneckiego, wtedy docenta zakładu filozofii wydziału farmacji, rozpoczął wspinaczkę na dziewiczy CB13A (6180 m). Druga grupa – prowadzona przez radiowca Zbigniewa Stepka – usiłowała wejść na inny dziewiczy szczyt – CB12. Wybrali jednak znacznie trudniejszą drogę, bo po lodospadzie.

Udało się tylko to pierwsze przedsięwzięcie. 17 sierpnia, podczas próby rozpoznania drogi przez lodospad, Stepka i świeżo upieczonego absolwenta medycyny Andrzeja Grzązka (rocznik 1942, kawaler; po studiach na lubelskiej Akademii Medycznej odbywał

służbę w wojsku) zaskoczyła lawina seraków – wielotonowych brył lodu tworzących się w wyniku pękania lodowca.

Działo się to na oczach obserwujących ich z dołu Teresy Rubinowskiej i Edwarda Zawadzkiego. Ciał Stepka i Grzązka do dziś nie znaleziono. Podczas akcji poszukiwawczej odnalazł się jedynie czekan Grzązka.

Zdzisław Czarnecki: – Wypadek był skutkiem elementarnych błędów. Nie wolno było wchodzić na ten lodospad. Po prostu. Nie wolno tam było brać chłopaka, który nigdy w życiu nie widział lodowców, który być może pierwszy raz miał raki na nogach [chodzi o Grzązka].

Czarnecki mówił o tym, stojąc na szczycie CB13A, skąd obserwował lodospad. – Mieliśmy łączność radiową. Powiedziałem: nie wolno tam wchodzić! Ale, niestety, wróciliśmy następnego dnia do bazy i dowiedzieliśmy się, że jednak poszli. I zginęli – opowiada.

Po wypadku to on dowodzi grupą. – Zdecydowałem, że kończymy wyprawę, bo z tej grupy nikogo na śmierć nie poprowadzę – zaznacza.

Zapomniana wyprawa

W 2008 r. w Himalaje z Lublina wyruszyła kolejna wyprawa. Drogą Czarneckiego na szczyt CB13A próbowali wejść członkowie Medycznego Klubu Turystycznego (udało się to jednej osobie z tej grupy). Od czasów lubelskiej wyprawy przeszła nią prawdopodobnie tylko jedna grupa – z Austrii. Tak przynajmniej wynika z dokumentów przechowywanych w Instytucie

Himalajskim w Manali w Indiach. Wśród uczestników drugiej lubelskiej wyprawy był lekarz pulmunolog Paweł Krawczyk.

Czy próba zdobycia lodospadu w 1973 r. była błędem? – Nie wiem. Trudno mi to oceniać, bo mnie tam nie było. Ale takie lodospady są do zdobycia. Jeśli już mówimy o błędach, to błędem było być może to, że Stepek i Grzązek nie biwakowali na lodowcu, a wracali w deszczu. Gdyby poczekali do rana, schodziliby w mrozie, kiedy jest mniejsze prawdopodobieństwo lawiny. Chociaż ryzyko jest zawsze, bo serak równie dobrze może urwać się w każdej chwili – twierdzi Krawczyk.

I chociaż to pierwsza powojenna polska wyprawa w Himalaje (dopiero cztery lata po niej Polacy po raz pierwszy stanęli na ośmiotysięczniku), nie ma jej na liście osiągnięć polskiego himalaizmu z lat 70. – Późniejsze sukcesy Polaków w Himalajach przyćmiły dokonania grupy Czarneckiego. Poza tym lubelska wyprawa nie miała statusu wyprawy narodowej – dodaje Krawczyk.

Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego nie chciał się na nią zgodzić, m.in. ze względu zbyt krótki termin, który nie pozwalał na właściwe przygotowanie. W końcu – po wymianie korespondencji – nie wydał zgody lubelskim himalaistom, a jedynie tę wyprawę „przyjął do wiadomości".

Kronika dramatu

Fragmenty oficjalnego sprawozdania z wyprawy Klubu Wysokogórskiego do Lahulu 1973:

17 VIII

O 6 rano wychodzą pod lodospad Stepek, Grząźek, Rubinowska i Zawadzki. Pochmurno, lekki mróz, około 5 stopni C. W lodospad wchodzą Stepek i Grząźek, Zawadzki zaś i Rubinowska zostają pod lodospadem jako obserwatorzy. Do godziny 17 Stepek i Grząźek wychodzą na lodowiec powyżej lodospadu, poręczując trudniejsze odcinki drogi. O 17.45 zaczynają schodzić na dół. Kiedy znajdują się około 100 m od górnej krawędzi lodospadu, obrywa się o godz. 19.45 bariera seraków znajdująca się około 40 m nad nimi. Stepek i Grząźek nikną w lawinie. Po jej przejściu próby nawiązania kontaktu głosowego nie dają rezultatu. Po 15 minutach robi się ciemno, Rubinowska i Zawadzki schodzą do bazy wysuniętej, informując o wypadku Śmieciuszewskiego i Rządkowskiego. O godz. 22 do bazy wysuniętej przychodzi zespół Czarnecki, Kubit, Kucyper po zejściu z CB 13A.

18 VII

O 6 rano do bazy głównej przyszli Kucyper i Zawadzki, informując o wypadku. Klimowicz, Nasalski i oficer łącznikowy wychodzą natychmiast do bazy wysuniętej, transportując leki i sprzęt medyczny. W tym czasie Rubinowska, Czarnecki, Kubit i Rządkowski idą pod lodospad i penetrują dolne części lawiniska. Wejście w górną część lodospadu jest niemożliwe ze względu na dalsze lawiny spowodowane opadem deszczu, który rozpoczął się o godz. 9. W godzinach przedpołudniowych dochodzą pod lodospad Klimowicz, Nasalski, Śmieciuszewski z kontuzjowaną nogą i oficer łącznikowy mjr Mehta. Poszukiwania nie dały rezultatu.

19 VIII

Ocieplenie powoduje dalsze lawiny w lodospadzie. Kontynuacja poszukiwań.

Do Batal schodzi Nasalski celem wysłania depesz zawiadamiających o wypadku Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Indian Mountaineering Foundation, Ambasadę PRL w Delhi, Polskie Radio w Lublinie oraz rodziny.

20 VIII

Ze względu na warunki atmosferyczne i sytuację w lodospadzie uniemożliwiającą poszukiwania w jego górnej części, podjęto decyzję o zakończeniu akcji. Wizja lokalna funkcjonariuszy posterunku policji w Batal. W związku ze śmiercią kierownika wyprawy postanowiono zakończyć działalność górską.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Wanda, co chciała być wolna

Wanda Rutkiewicz mówiła: „Jeśli igram ze śmiercią, widocznie tego potrzebuję". Prosiła, by nie oceniać ludzi, którzy ryzykują życie, bo jeśli tak jest, to znaczy, że potrzebują tego, by poczuć, co to znaczy życie. Rozmowa z Anną Kamińską, autorką książki „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci".

DOMINIK SZCZEPAŃSKI

FOT. ZBIORY MUZEUM SPORTU I TURYSTYKI

Wanda Rutkiewicz w Pirenejach, 1969 r.

DOMINIK SZCZEPAŃSKI: Przeciw czemu buntowała się Wanda Rutkiewicz?

ANNA KAMIŃSKA: Przeciw rutynie. Kiedy wracała z Noszaka [siedmiotysięcznik, najwyższy szczyt Afganistanu], jednemu ze swoich mężczyzn powiedziała: „O matko, teraz znów zacznie się codzienność". Nie było w niej zgody na powtarzalność, stabilność i przyziemność. Nie wyobrażała sobie życia bez przygód. Nie chciała być też zdominowana przez kogokolwiek – to ona chciała mieć nad wszystkim kontrolę. Kochała wolność. W górach nie zgadzała się na

traktowanie kobiet jak wspinaczy drugorzędnych. Uważała, że mają takie same prawa i mogą się wspinać bez mężczyzn. Zawsze brała sprawy w swoje ręce, więc drażniła ją niemoc, na przykład u niezaradnej, niesamodzielnej, ale apodyktycznej matki.

Jakie były ich relacje?

– Trudne. Matka Wandy nie radziła sobie z powojenną rzeczywistością, nie pracowała i nie zawsze zajmowała się domem. Żyła w innym wymiarze, zatopiona w lekturze. Interesowały ją głównie książki dotyczące historii, religii czy okultyzmu. A ojciec prał, sprzątał i organizował dzieciom czas. Mama Wandy była zamknięta emocjonalnie – nie chciała czy też nie potrafiła opowiadać o własnych uczuciach czy przeżyciach. To nie pomagało w budowaniu relacji, nie tylko z Wandą. Córka narzekała także, że mama próbuje odbierać jej wolność.

A ojciec?

– Wspaniały! Był niezwykle interesującym człowiekiem. Intelektualista w typie przedwojennego profesora, człowiek o szerokich horyzontach, otwartym umyśle i praktycznym podejściu do życia. Inżynier, poliglota i sportowiec. Tata Wandy ćwiczył dżudo, karate, jogę, uprawiał strzelectwo, interesował się kajakarstwem i był pływakiem. Całe życie pracował jako inżynier, projektował nowe urządzenia, zarówno w pracy, jak i w domu. Znajomi Wandy z Wrocławia mówią o nim: „zwariowany wynalazca", bo opracowywał i zdobywał kolejne patenty na urządzenia sanitarne, a w domu konstruował wynalazki: od łyżew dla dzieci, przez trzyosobową hulajnogę, kajak, po basen czy różne sprzęty do pracy w ogrodzie. Pokazywał dzieciom, że nie ma rzeczy niemożliwych, że można zrobić coś z niczego, urozmaicając sobie

życie, i że świat należy do nich, wystarczy tylko odrobina wiedzy, dobre chęci i wyobraźnia. Ojciec był dla Wandy punktem odniesienia przez całe życie, motorem wielu jej sukcesów sportowych w lekkoatletyce, siatkówce czy wspinaczce i człowiekiem, któremu chciała zaimponować. To między innymi dzięki niemu rozwijała w sobie z biegiem lat nadludzką wręcz, niewyobrażalną i niegasnącą ambicję. Tata Wandy i jego wpływ na jej osobowość, charakter i styl życia polegający na wyznaczaniu sobie kolejnych celów – szczytów do zdobycia – to dla mnie jedno z najciekawszych odkryć.

Co Wanda ceniła w ludziach?

– To, co było charakterystyczne dla jej ojca, człowieka, który potrafił się odnaleźć w każdej sytuacji, zorganizować sobie pracę, rozbudzić pasję i znaleźć cel w życiu. Lubiła u innych zdolność do pokonywania własnych ograniczeń, niezależność w działaniu i skuteczność. Gdy zaczynała himalajską karierę, imponował jej Reinhold Messner, światowej klasy himalaista, pierwszy zdobywca wszystkich ośmiotysięczników; gdy zaczynała jeździć w rajdach samochodowych – Sobiesław Zasada czy Francuzka Michèle Mouton, mistrzyni w tej dziedzinie sportu wśród kobiet.

Doceniała też lojalność, szczerość i uczciwość, jak mówią ci, którzy znali ją najlepiej i pomagali jej żyć po powrocie z gór. A przede wszystkim szanowała ludzi, którzy mieli wewnętrzne poczucie wolności i rozumieli taką potrzebę u innych. Nie wypytywali, nie naciskali, nie przekraczali granic w kontaktach z innymi, nie zagarniali czyjejś przestrzeni, nie moralizowali i nie mówili, jak żyć, tylko dawali innym autonomię.

Skąd w Wandzie tak silna potrzeba wolności?

– Wydaje mi się, że to wynika ze zniewolonego obowiązkami domowymi dzieciństwa. Tak jest w przypadku wielu ludzi, którzy przegapili, stracili czy zgubili w życiu czas beztroski, swobody i dziecięcych przygód. Widać to zresztą wyraźnie, gdy przyjrzymy się życiorysom wielu wspinaczy, którzy mieli trudne dzieciństwo. Tak jest w przypadku pierwszego zdobywcy Everestu Edmunda Hillary'ego. Wielu ludzi z takim straconym czasem swobody ma podświadomą potrzebę, by sobie to kiedyś zrekompensować. Z tego, na ile poznałam ojca Wandy, wynika, że on też miał bardzo silną potrzebę wolności. Zrezygnował z pracy na etacie, bo chciał rozwijać swoją pasję i mieć swobodę w projektowaniu nowych wynalazków.

Życie i praca w zniewolonym kraju, jakim była Polska na początku lat 70., też nie były najwyraźniej na miarę jego potrzeb i nie zaspokajały wszystkich ambicji, bo planował karierę zawodową na innym kontynencie, chciał projektować systemy kanalizacji w Ameryce Południowej. Uczył się hiszpańskiego. Nie udało się. W 1972 roku został brutalnie zamordowany.

Jak Wanda zareagowała na jego śmierć?

– Jeszcze większą gotowością na to, by mierzyć się z losem. Mówiła: „Jeśli igram ze śmiercią, widocznie tego potrzebuję". Prosiła, by nie oceniać ludzi, którzy ryzykują życie, bo jeśli tak jest, to znaczy, że potrzebują tego, by poczuć, co to znaczy życie. Przyjaciel Wandy – człowiek, który do dziś uprawia sport ekstremalny i rozumie jej postawę wobec śmierci – mówi, że każda śmierć kogoś z bliskich wzmagała u niej potrzebę ryzyka i wtedy szczególnie ciągnęło ją w mroczną stronę. W takich sytuacjach „chciała żyć, ale nie miała nic przeciwko śmierci" – jak mówi dzisiaj jej menedżerka z Austrii Marion Feik.

Zawsze tak uważała?

– Tak, zmieniał się tylko sposób patrzenia na śmierć. Na początku górskiej kariery Wanda miała do niej stosunek szalenie romantyczny, jakby w górach ginęło się w poszukiwaniu czegoś głębszego. Wojciech Rutkiewicz, pierwszy mąż Wandy, opowiadał mi, że to się później zmieniło – widziała przyczynę wypadku śmiertelnego w górach w popełnionym przez wspinacza błędzie czy awarii sprzętu. Ale potem znów wróciła do początkowego poglądu na temat śmierci w górach. „Jeśli zginę w górach, to znaczy, że tak miało być" – mówiła tak już jako dojrzała himalaistka w rozmowach z siostrą. Szczególnie w tym ostatnim okresie życia jej gotowość na śmierć była większa.

Dlaczego?

– Znów zginął ktoś jej bliski, życiowy partner. W środowisku polskich wspinaczy nie było wtedy dobrej atmosfery wokół Wandy – zarzucono jej, że nie weszła na ośmiotysięcznik Annapurnę. Miała kłopoty ze zdrowiem, napięcia związane z tempem, sposobem i pieniędzmi na realizację programu zdobycia wszystkich ośmiotysięczników i problemy w relacjach w ludźmi.

Nie miała nikogo bliskiego?

– Miała wokół siebie wiele życzliwych osób, które wspierały ją w działaniach, ale i one patrzyły bezsilnie na jej mordercze tempo życia polegające na wyjeżdżaniu z wyprawy na wyprawę i wchodzeniu w strefę śmierci, na niekończący się niedosyt w realizacji własnych ambicji. I jak same dziś mówią: nie umiały powstrzymać jej od chodzenia w góry do upadłego.

Wojciech Rutkiewicz mówił też o niej, że w górach wolała zginąć, niż się wycofać.

– Tak, tłumaczył, że Wanda zawsze należała do twardych wspinaczy, którzy są gotowi, by podjąć ryzyko, pójść na całość. To było zresztą powodem ich nieporozumień oraz konfliktów Wandy z otoczeniem, czemu trudno się dziwić. Ale Wanda jako indywidualistka w ogóle miała trochę problemów w relacjach. Jeśli chodzi o powierzchowne kontakty była mistrzynią, ale nie umiała budować głębokich więzi z ludźmi.

Dobrze czuła się z tymi, z którymi mogła pomilczeć, którzy jej o nic nie wypytywali, tylko dawali wolność, sympatię i akceptację, nie zmuszając do bliskości.

Przypomina trochę bohaterkę pani poprzedniej książki Simonę Kossak.

– Dokładnie tak. Simona „cierpiała" na to samo. Tyle że brak umiejętności tworzenia więzi rekompensowała sobie kontaktem ze zwierzętami, które kochała jak matka i traktowała jak członków rodziny. Miała też u boku przez ponad 30 lat towarzysza życia, który był obok, wprawdzie raz dalej, raz bliżej, ale rozwijał w niej zainteresowania przyrodą i wspierał w tym, że w świecie natury odnajdywała harmonię.

A co z mężczyznami Wandy?

– Wchodziła w relacje z fantastycznymi mężczyznami, ale, jak sama mówiła, nie tworzyli jej życia. Wszystkie te związki były bardzo krótkie.

W górach zdawała się zaprzeczeniem wrażliwości. Podejmowała autorytarne decyzje, często wykorzystywała i raniła ludzi.

– To prawda, jeśli wierzyć tym, którzy chodzili z nią w góry. W górach, jak mówią, była często niczym niewzruszony dyktator. Nie starałam się jednak, śledząc jej losy, oceniać, tylko zrozumieć taką postawę i dowiedzieć się, z czego ona wynikała. Simona Kossak powtarzała, że jest bardzo łatwo powiedzieć, co w trawie piszczy, ale znacznie trudniej zrozumieć, dlaczego piszczy. Odpowiedzi, dlaczego Wanda tak, a nie inaczej zachowywała się w górach, znajdowałam w tym jej okresie życia, kiedy nie miała nic wspólnego z górami, a rozwijała w sobie cechy, które potem na wysokościach ulegały wyostrzeniu i o których wspominają himalaiści. Jeśli się zobaczy, dlaczego w dzieciństwie była liderem i w jaki sposób dominowała nad rodzeństwem, staje się jasne, że w górach nie mogła być kimś, kim inni będą mogli sterować, tylko to ona będzie chciała trzymać ster.

Jak traktowali ją polscy himalaiści?

– Himalaiści sami mówią o sobie, że są brutalni, bo gdyby nie byli, to nie weszliby tam, gdzie chcieli. Jak więc można przypuszczać, nie byli dla Wandy delikatni. Ona sama nie mówiła o kolegach źle – rozżalona pisała do nich czasami listy, ale rzadko komentowała publicznie, na przykład w czasie swoich wystąpień przed ludźmi spoza środowiska, zachowania himalaistów.

Kim dla nich była?

– Zdarzało się, że po gorzkich wynurzeniach słyszałam od wielu na koniec rozmowy: „To była przecież wspaniała kobieta". I może przy tym zostańmy, bo dla każdego wspinacza była kimś innym. Ikoną, rywalem w zdobywaniu pieniędzy na wyprawy czy osobą w

zespole, która nie chce się podporządkować decyzjom mężczyzny kierującego ekspedycją. Gwiazdą, która błyszczy przed kamerami i „sprzedaje" sukcesy odniesione w górach, popełniając straszliwe faux pas w siermiężnych czasach, w których innym ze środowiska nawet się nie śniło, że kiedyś stanie się to normą. Pasjonatką, która nie potrafi znaleźć równowagi między górami i życiem. Kobietą, która ma śmierć w oczach, idzie jak na zatracenie, na dodatek po trupach do celu. Kobietą, z którą można napić się wódki, pożartować i konie kraść. Kobietą, która myśli tylko o sobie i po zakończeniu wyprawy znika z gotówką albo zachowuje się jak mała dziewczynka, oburzając się, kiedy ktoś zwraca jej uwagę. Kobietą nie do zdobycia, o której – kiedy już nie ma o czym rozmawiać – trwają w bazie dyskusje, kto był jej pierwszym mężczyzną i dlaczego wszyscy ją kochają, a ona nie kocha nikogo. Królową lodu. Gwiazdą na wysokościach, której blasku zazdroszczą inne kobiety. Pierwszą damą himalaizmu, której czas świetności mija. Kobietą, na którą trzeba uważać, bo jak się z nią zwiążesz, to, bracie, przepadłeś. Zostaniesz mocno poturbowany.

A kim była dla himalaistek?

– Liderką, która organizowała wielkie kobiece wyprawy narodowe i otworzyła góry dla kobiet. Nauczyła też inne kobiety kochać góry. Bez niej wiele z nich nie wyjechałoby w Himalaje. Wanda przez pewien czas była prekursorką idei alpinizmu tzw. kobiecego i zarażała tym inne alpinistki, zanim z tego zrezygnowała i skoncentrowała się na sobie i swoich wyzwaniach. Wyróżniała się z grona polskich wspinających się kobiet. To Wanda przez wiele lat stanowiła naszą wizytówkę na świecie, znała języki, była niezwykle otwarta, towarzyska i przyjazna w pierwszym kontakcie. Budowała relacje z ludźmi gór na Zachodzie. Swoim urokiem osobistym,

ambicjami, planami, oszałamiającą urodą, sposobem mówienia i przede wszystkim uśmiechem – magnesem, który powodował, że wzrok każdego wędrował w jej stronę – sprawiała, że była to reprezentacja najwyższej klasy przyciągająca uwagę.

Jak traktowała ludzi w górach?

– Tak samo jak siebie – poprzeczkę zawieszała wysoko. Rano mogła się źle czuć, zwymiotować za namiotem, a po chwili i tak mówiła do zespołu: „Idziemy". I pokazywała w ten sposób, że pokonuje kryzys. Wymagała od siebie i innych więcej, niż to było możliwe, tak jakby ciało było tylko narzędziem. Ale himalaistka Anna Czerwińska powiedziała mi też: „Jeśli się nie powie ciału, żeby robiło to i tamto, jeśli wola nie jest silna, to ciało sobie pójdzie". Nie był to więc tylko przypadek Wandy.

Kiedy była szefem wypraw, zarzucano jej dyktatorski model kierowania wyprawą. Mam tu na myśli słynny konflikt po wyprawie na Gaszerbrumy. Zdarzały się jednak wyprawy, na przykład z kobietami, z którymi pojechała przejść Cerro Torre, na których okazywała się rewelacyjnym kompanem. I kobiety namawiały ją: przestań jeździć na wyprawy z facetami i użerać się z nimi w Himalajach, wybierz się znowu wspinać z lekkim plecakiem z nami!

„Karawana do marzeń", projekt, który zakładał, że Wanda zdobędzie wszystkie ośmiotysięczniki w bardzo krótkim czasie, wydawał się szalony nawet jak na nią.

– Ale to było typowe dla niej! Kiedy ktoś mówił, że się nie da, ona tym bardziej próbowała udowodnić, że właśnie się da i będzie pierwszą, która to zrobi. Powtarzała w rozmowach z ludźmi, że podawanie w wątpliwość jej możliwości to jest dla niej największy

doping. Kiedy jeden z himalaistów, po oficjalnym zamknięciu sprawy Annapurny i uznaniu w końcu jej wejścia na szczyt, powiedział Wandzie już po wszystkim, w sytuacji nieoficjalnej: „Wanda, uznaliśmy, że weszłaś, ale ja ci, kurwa, nie wierzę", to było do przewidzenia, że jak zwykle zadziała ten sam mechanizm. I rzeczywiście, Wanda chciała udowodnić, że stać ją jeszcze na wiele szczytów. To pewnie dlatego, krytykując najpierw ściganie się himalaistów, kolekcjonerów ośmiotysięczników, postanowiła w końcu na swój sposób i z ogromną determinacją podjąć to wyzwanie.

Czego pani się dowiedziała o himalaistach, pisząc tę książkę?

– Przyglądając się temu środowisku, można napisać wspaniałe studium narcyzmu. Z jednej strony pełne jest ludzi wpatrzonych w siebie, z ego wielkim jak Mount Everest, ale z drugiej – jest takie samo jak każde inne. W każdym tego typu hermetycznym gronie można spotkać człowieka dużego formatu i małostkowego słabeusza plującego jadem. Niczym wariat, który chodzi kompletnie po omacku i zupełnie nie orientuje się w środowiskowych układach i układzikach, odkrywałam te postaci, i tych wspaniałych ludzi, i tych małych, sfrustrowanych, którzy zdobyli ośmiotysięczniki, ale nikt o tym nie wie. Mają niskie poczucie wartości i przy każdym wypowiadanym zdaniu drżą, czy koledzy ich nie wyśmieją za to, co powiedzieli. Nie należy gloryfikować himalaistów – tak powiedział mi Bogdan Stefko, poeta gór, wspaniała postać, szalenie ciekawy rozmówca, zupełnie nieograny i nieeksploatowany jak inni przez media.

Dlaczego Wanda panią zainteresowała?

– Wiele lat temu od jej znajomego usłyszałam, jak niezwykłą była kobietą, i zobaczyłam w jego oczach wielki podziw. Gdy szukałam pomysłu na nową książkę, przypomniałam sobie także atmosferę tamtej rozmowy i aurę tajemnicy wiszącą w powietrzu, gdy opowiadał o Wandzie. Kiedy trafiłam potem na książkę o Wandzie, w której znalazłam zbierane przez jej fana przez sześć lat wycinki prasowe, misternie opisane, z zaznaczonym źródłem pochodzenia, i odręczne notatki na marginesach ze wskazówkami na temat gór i środowiska, poczułam, że trafiłam na skarb. Ale były też wahania. Czy uda mi się pokazać wielowymiarowość takiej postaci? Czy odkryję nowe rzeczy, oprócz tego, co zostało już opisane w tekstach na jej temat? A przede wszystkim, czy uda mi się zrozumieć tę kobietę? Zorientowałam się szybko, docierając do dokumentów, jak wiele nierzetelnych informacji ukazało się na temat Wandy, szczególnie jej życia poza górami, i poczułam, że to, co robię, ma sens.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Slackline, czyli spacer bez asekuracji

Teraz Jan jest zakochany i przejścia bez asekuracji już by nie powtórzył. Ci, którzy często chodzą po taśmie bez asekuracji, rzadko kiedy mają rodziny.

MAGDALENA ANDRZEJEWSKA

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE PIOTRA BŁASZCZAKA

Piotr Błaszczak w kanionie Verdon, Francja.

Żółta taśma o szerokości dokładnie dwóch i pół centymetra łączyła dwa brzegi rzeki. Piotr usiadł na jednym jej końcu. Słyszał szum kilka metrów pod stopami. Zamarł na 20 minut. Ruszył przed siebie. Gdy dotarł na drugi brzeg, wierzył, że może już wszystko. – To był jeden z najlepszych momentów w moim życiu – mówi. Było lato 2010 roku.

Dziś patrzymy z Piotrkiem przez okno na dwa wieżowce – jedne z najwyższych w Warszawie. Piotrek mówi, że to świetne miejsce, aby zawiesić taśmę.

Wzrok Kuby sięga wyżej. Śni mu się spacer między Pałacem Kultury a słynnym żaglem, Złotą 44. – To byłoby symboliczne połączenie kultowego budynku PRL-u z modernistycznym wieżowcem. A do tego żagiel ma tak piękny, wystający dziób – mówi.

Taśma jest elastyczna

Do niedawna slackline był uprawiany wysoko w górach przez wspinaczy, którzy nudzili się między podejściami w skałach. Dziś taśmy opanowują doliny, miasta i opuszczone budynki. Naciągane są nad przepaściami, rzekami i dachami domów. Ich właściciele robią to z pasji i coraz częściej dla publiczności, na festiwalach.

Nie lubią określenia „chodzenie po linie". Po linie chodzi linoskoczek w cyrku, a jego lina jest sztywna jak krawężnik. W slacklinie taśma jest elastyczna i wibruje pod ciężarem człowieka. Balansowanie po niej wymaga zupełnie innej techniki. – Nie patrzysz na stopy. Znajdujesz nogę dominującą, czyli tę, którą będziesz stawiać na taśmie zawsze jako pierwszą. Może się kręcić w głowie, ale nie przejmujesz się tym. Koncentrujesz się. Koniec taśmy jest jedynym stabilnym punktem. Idziesz boso, chyba że jest zima. Na wysokich taśmach, highline, przypinasz asekurację – tłumaczą, jak stawiać pierwsze kroki. – Nie może ci za bardzo zależeć, wtedy nic nie wychodzi.

„Pani Bulwa" ma 61 metrów długości, a „Wisienka na torcie" to imponujące 135 metrów. To tylko kilka znanych tras przy kultowej Bramie Bolechowickiej nieopodal Krakowa. Skąd te nazwy? – Kto pierwszy przejdzie trasę, może ją nazwać – tłumaczy Kuba. – Mnie prześladowała opuszczona fabryka pod Warszawą. Dwa kominy,

które aż proszą się, aby je połączyć. 40 metrów wysokości. Widok na panoramę Warszawy.

Nazwał trasę „Zardzewiałe śniadanie". Nikt inny tego wyzwania jednak nie podjął.

Po poręczach

Piotrek Błaszczak, 36-latek, często chodził po poręczach. A po wypiciu – po dachach. Mówi, że gdy alkohol odcinał głowę, ciało samo szło. Później przyszedł czas na żonglerkę, monocykl, sztuczki z drabiną w teatrze, nurkowanie na bezdechu.

Pierwsze próby chodzenia w powietrzu? Dom rodzinny i taśma rozwieszona w ogrodzie na wysokości trzech metrów. Miał 25 lat. – Pamiętam moment, kiedy stopy sprawnie idą po taśmie i nagle słyszę głos mamy: „Uważaj, bo się połamiesz i będziesz sparaliżowany". W ułamku sekundy cały zacząłem drżeć. Poczułem, jakby ktoś wbił mi strzykawkę w szyję i wstrzyknął strach.

Piotrek jest programistą. W zeszłym roku zostawił stałą pracę, aby chodzić po taśmie w kultowych miejscach Europy. Francja, Hiszpania, Bośnia i Hercegowina. Swój życiowy rekord i wówczas jednocześnie rekord Polski, 413 metrów długości, osiągnął w Bośni. – Udało mi się tę taśmę pokonać z Kubą Morawskim. Ale Kuba na sylwestra pojechał do Hiszpanii i tam pobił kolejny rekord.

Po dachach

Kuba Morawski, 22-latek, który w tym roku ustanowił rekord Polski na długości 610 metrów, nieopodal gór Sierra Nevada, przyznaje, że był dzieckiem krnąbrnym. A wysokości zawsze go pociągały. Wspinał się na drzewa. U dziadków wszedł na dach. Gdy matka

zabrania mu jechać w góry, ucieka z domu, sam wchodzi na Rysy. – Miałem awanturniczą naturę. Już wtedy nie pozwalałem sobie wmówić, że czegoś nie mogę. Do dziś wiodę swoje życie tak, jak chcę.

Nałogowo żongluje, jeździ na monocyklu, wspina się. Czasem nie może się powstrzymać i wchodzi na kominy. Tak jak w Poznaniu, po niezabezpieczonej drabince z wybrakowanymi szczeblami. – To był mój pierwszy w życiu komin. Miał 70 metrów wysokości. Popatrzyłem na nocną panoramę miasta, gwiazdy i zszedłem. Teraz wiem, że dopóki czegoś nie przetestuję, nie odpuszczę.

Kiedyś bardzo chciał być astronomem. Poszedł na studia, ale astronomia przy taśmie spadła na drugi plan. Każdą wolną chwilę spędza na linie. – Slackline to dla mnie najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłem w życiu.

Pierwszy udany spacer w powietrzu? – Na festiwalu we Wrocławiu w 2016 roku. Widok z góry przerażał. Podświadomość krzyczała: nie rób tego! To paraliżowało całe ciało.

Przeszedł jednak na drugą stronę i przysiadł na parapecie przeciwległej kamienicy. Pod stopami miał wąską uliczkę i przechodniów z głowami zadartymi do góry. Z radości wrócił do punktu wyjścia tyłem. To było tylko 12 metrów wysokości i 14 metrów długości.

Po drzewach

Ania Batóg, 32-latka, od kilku miesięcy wstaje codziennie o 5.30 rano, trenuje przez trzy godziny w parku w Warszawie, idzie do pracy, wraca i trenuje do późnej nocy. Na taśmie ćwiczy akrobacje,

ale chodzić pewnie na wysokości jeszcze nie potrafi. – Nabijam kolejne siniaki, ale taśma daje mi energię.

Od małego chodziła po drzewach. I nigdy nie spadała. – Dla rodziny byłam nie do okiełznania. Mówili: „Siadaj do nauki!", ale gdy mama obok w kuchni gotowała obiad, ja uczyłam się, stojąc na głowie. Teraz, gdy do mnie dzwoni, często wykręcam się, że właśnie oglądam telewizję, choć balansuję na wysokości.

„Po kim ty to masz?!" – bliscy łapią się za głowę. Robi salta na trampolinach. Trenuje akrobacje w tunelu aerodynamicznym. Skacze ze spadochronem. – Nie mogę przestać. Skakałam już z najwyższego komina do skoków w Europie o wysokości 222 metrów, a to jest 8 minut swobodnego lotu, skakałam też z bloków i ze skał.

Ale na pierwszym podniebnym spacerze Ania nie radzi sobie z paniką. W Lublinie jest już ciemno. Cienka linia łączy katedrę z Wieżą Trynitarską. Potrzeba 25 metrów koncentracji. Przed sobą w oknach widzi cienie, a pod stopami wpatrzone w siebie czujne oczy. „Krok! Zrób krok!" – krzyczą zza pleców. Plamki wirują przed oczami, serce bije za szybko. Schodzi i płacze. Zarzeka się, że więcej tam nie wróci. – Im bardziej chcemy coś zrobić, tym bardziej nam nie wychodzi. Potem złapałam do tego dystans, bawię się tym i już mi się udaje.

W parku, gdzie codziennie trenuje technikę balansowania, zdobyła kilka serc. Rano pan z lodziarni dopinguje ją szerokim uśmiechem. Wieczorem kłania się z parkowej ławki stały czytelnik prasy. Pasją zaraziła nawet księdza: – Po wieczornej mszy patrzę, a przez park biegnie do mnie ksiądz w sutannie. Gdy próbował swoich sił, modliłam się, aby sutanna nie wkręciła mu się w taśmę.

Teraz Ania marzy o przejściu stu metrów i staniu na rękach, robieniu salt, szpagatów i innych sztuczek – to widowiskowa odmiana slackline'u, czyli trickline.

Religia

Ojcem polskiego slackline'u jest Jan Gałek, pierwszy Polak, który w roku 2007, jako 18-latek, pokonał najsłynniejszą trasę highline świata w parku Yosemite w Stanach Zjednoczonych. Od tego czasu zrobił już ponad sto przejść, nawet na wysokości 880 metrów.

Przez sześć lat żył na walizkach. Podróżował ze światowymi idolami slackline'u do kultowych tras w Stanach Zjednoczonych. – Byliśmy hipisami, a taśma była religią – opowiada. – Myślałem, że to życie będzie trwało wiecznie – i wielu z tych ludzi rzeczywiście dalej żyje w ten sposób.

On wrócił w polskie góry. Zrobił kurs spadochronowy. Myślał o oddawaniu skoków typu BASE (skakanie na spadochronie z obiektów stałych). – Niby masz kontrolę nad ryzykiem, ale średnia długość życia w tym sporcie wynosi cztery lata. Masz tylko jedną szansę, aby otworzyć spadochron.

Zrezygnował. Skończył studia na akademii wychowania fizycznego, jest alpinistą przemysłowym. Robi kurs instruktora wspinaczki skalnej Polskiego Związku Alpinizmu.

Strach

Podobno najważniejsze to nie bać się. – Ale zadajesz sobie pytanie: co ja tu właściwie robię? Przecież ja tego nie lubię. Nie chcę. Podświadomość podsunie każdy pretekst, aby zejść z taśmy: słońce za mocno świeci, wiatr zaraz cię przewróci, znów się poobijasz,

ciekawe, jaki serial grają wieczorem w telewizji… – Ania ma takie myśli, gdy czeka na dobry moment, aby ruszyć.

Kuba cały czas próbuje siebie oszukać, że na przejściu w powietrzu wcale mu nie zależy. „Wiadomo, że nie przejdę, ale zobaczymy, jak daleko zajdę – mówi do siebie. – O! Już zaszedłem tak daleko? Fajnie, może spróbuję jeszcze dalej, fajnie się tu idzie…". Zdarza się coraz częściej, że z balansowania na taśmie nic nie pamięta.

Euforia na wysokości

– Kiedy pierwszy raz dotknąłem taśmy, poczułem, jakbym lewitował. Latał – opowiada Piotrek. – To uczucie, że wychodzę z ciała. Odcinasz głowę, świadomość i pozwalasz, aby ciało wszystko za ciebie robiło. Ufasz mu. Ile w ułamku sekundy podejmuje ono decyzji, aby nie spaść! To jest logicznie nie do zrozumienia. Ja to nazywam elektroniką ciała. To jest medytacja.

Kuba: – Najbardziej imponujący widok jest wtedy, gdy stoisz na środku taśmy zawieszonej wysoko pomiędzy skalnymi turniami. Teraz, kiedy nie czuję już takiej adrenaliny, dla urozmaicenia staję na środku, patrzę w dół i podziwiam przepaść.

Tak oglądał czerwone skały z punktu widzenia ptaka podczas bicia rekordu w Utah. Odkrył chodzenie z zamkniętymi oczami i ostatnio tak pokonał 220 metrów. Teraz marzy o żonglowaniu na taśmie, ale z piłkami może przejść tylko kilka kroków. To nowe wyzwanie.

Wszyscy przyznają, że slackline uzależnia. Twierdzą, że to sztuka bycia tu i teraz. I ucieczka od uporządkowanej rzeczywistości. Nie myślisz o problemach, całą uwagę poświęcasz taśmie.

Jan: – Dziś wszyscy usiłują się zabezpieczyć, nie podejmować ryzykownych decyzji czy pochopnych ruchów. Moment, kiedy stoję nad przepaścią, jest moim wyjściem poza ten schemat. Przez chwilę żyję pełnią życia. Mój umysł jest czysty, nie ma wczoraj, nie ma jutro. Lewituję nad przepaścią, opierając się tylko na cienkiej, 2,5-centymetrowej dróżce, a strach i spokój łączą się w jedno. To wolność.

Free solo

Zapewniają, że to nie jest rosyjska ruletka. Free solo, czyli przejście bez asekuracji na wysokości, zarezerwowane jest dla najbardziej doświadczonych, gdyż ryzyko śmierci lub urazu jest wysokie. Niektórzy próbują i na drugim końcu taśmy stwierdzają: „To nie dla mnie, nigdy więcej!".

Jan bez asekuracji chodził nałogowo. – Jeżeli mam szukać przeciwnika, to zawsze chcę, abym był to ja sam. Taśma bez asekuracji to wejście na szczyt możliwości, mój ostateczny test – tłumaczy, że idealne przejście wymaga idealnie czystego umysłu. Aby to osiągnąć, pracował z psychologiem sportowym. – Wiele osób puka się w głowę: „Wariat, nie chce mu się żyć". Nie wiedzą, jak dużo przygotowań stoi za takim przejściem.

Najwyżej przeszedł solo 880 metrów nad ziemią, najdłużej 40 metrów taśmy. O czym człowiek wtedy myśli? – Stajesz na jednym końcu. Patrzysz na bose stopy przy linii, za którą już nic nie ma. Możesz zmierzyć się ze strachem lub uciec. Nie ma miejsca na wahanie.

Kiedy chodził bez asekuracji, o śmierci myślał codziennie. Czasem śnił, że spada, ale na krawędzi był tylko dwa razy.

Zero

Tyle osób zginęło, spadając z liny. Aż trudno uwierzyć, ale w statystykach free solo jest najbezpieczniejszym wśród sportów ekstremalnych.

Czy to nie jest wbrew logice? – pytam Piotrka.

– Nie, nikt nie robi tego, aby się zabić lub komuś zaimponować. Robi to tylko dla siebie. I ma swoją własną motywację. Andy Lewis, profesjonalny slackliner, wyskoczył mi kiedyś ze spadochronem z wieżowca w Lublinie. Próbował to zrobić już dwa lata wcześniej, ale wycofał się. Dużo osób krytykuje go za igranie ze śmiercią. A on tłumaczy, że to nie szczęście, tylko godziny treningu. Setki godzin spędził, latając i skacząc, tylko po to, aby w tym ułamku sekundy jego mięśnie zareagowały z precyzją szwajcarskiego zegarka. Dokładnie tak samo jest z free solo. Ale ci, którzy często chodzą po taśmie bez asekuracji, rzadko kiedy mają rodziny, dzieci – przyznaje Piotrek. – Nie wiem, czy gdybym miał rodzinę, tobym to zrobił.

Jan nigdy nie chciałby, aby jego dzieci straciły ojca. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że to nie jest egoistyczne. Że to nie było egoistyczne wobec mojego ojca. Teraz już nie przesuwam tak swoich granic.

Jan jest zakochany i przejścia bez asekuracji już by nie powtórzył.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Igrzyska śmierci i przemilczane oszustwa

Program budowania chwały narodowej przekształcił się w program zagłady narodowej – mówi o polskim himalaizmie Wojciech Kurtyka.

JOANNA DZIKOWSKA

FOT. ARCHIWUM WOJCIECHA KURTYKI

Wojciech Kurtyka w drodze pod ścianę Sziszapangmy, 1987 r.

WOJCIECH KURTYKA: Możemy rozmawiać, tylko darujmy sobie pięknoduchostwo.

JOANNA DZIKOWSKA: A filozofia wspinania, związek człowieka z przyrodą?

– Nie, nie tym razem. Przecież himalaizm zamienił się w spektakl robót wysokościowych. To syndrom czasów: magię muzyki redukuje się do disco polo, a restrykcje antycovidove zabiły w 2020 r. dwa razy więcej ludzi niż COVID. Chyba więc nie godzi się być pięknoduchem, słuszniej jest obudzić w sobie złość. Wydarzenia na K2 szeroko otwierają oczy.

W połowie stycznia 2021 r. grupa dziesięciu Nepalczyków pod wodzą Nirmala Purji jako pierwsza w historii dotarła na szczyt zimą.

– To wejście jest symptomatyczne i symboliczne. Oznacza zamknięcie epoki zimowej eksploracji ośmiotysięczników i uzmysławia, gdzie zabrnął polski himalaizm. I wreszcie pozwala zrozumieć rolę Szerpów w himalaizmie.

Uchodzili za tragarzy...

– ...których życie kupuje się do obsługi wypraw komercyjnych lub na potrzeby Polskiego Himalaizmu Zimowego (PHZ) za tysiąc lub dwa tysiące dolarów. Dla klientów komercyjnych poręczują całe góry, dźwigają tlen, rozbijają namioty, gotują. Czasem – jak na przykład podczas wyprawy Artura Hajzera na Lhotse – za te tysiąc dolarów tracą życie. U Wielickiego zimą, na tragicznym Broad Peaku, tragarz Karim z Baltistanu jako jedyny z całego składu wyprawy próbował szukać umierającego Berbeki. I nikt nawet nie zauważył, jak nisko upadł PHZ.

Równocześnie rola Szerpów i ich partnerstwo w himalaizmie pionierskim zawsze pozostawały w dyskretnym cieniu. A przecież Hillary wszedł na Everest z Tenzingiem Norgayem. Szerpa Pasang Dawa dokonał pierwszego wejścia na Czo Oju z Austriakami Tichym i Joechlerem – robił dla nich za konia pociągowego i niańkę.

Mimo to Szerpowie postrzegani byli jako juczne zwierzęta, gdy w himalaizmie wydolnościowym są sportowymi gigantami. Na Everest wchodzą po dwadzieścia kilka razy, nieraz dwa razy w tygodniu. Nirmal Purja wszedł na Everest w 16 godzin, a na 14 ośmiotysięczników w sześć miesięcy. Te rekordy pokazują pustą chwałę igrzysk pod nazwą Korona Himalajów. Ich wejście na K2 było wyłącznie kwestią szczęścia – himalaizm zimowy to rodzaj ruletki o nazwie „okno pogodowe".

Równocześnie brakuje publicznego zrozumienia, czym w istocie było to szerpańskie wejście. Razi chór naszych lokalnych bonzów, którzy natychmiast zdyskredytowali ich za użycie tlenu. Urubko – że użycie tlenu to doping, Bielecki – że to nie jego dyscyplina, Majer – że styl pozostaje do poprawienia.

Niby honornie, bo istotnie, himalaizm z tlenem z butli oznacza sportowy uszczerbek, lecz zadziwia w tych wypowiedziach brak krytyki tego, co w wejściu Szerpów razi o wiele bardziej. Szerpowie do perfekcji zacykali umiejętność poręczowania gór. Dwa szerpańskie plutony superinstalatorów lin sprawnie zamieniły K2 w rodzaj „Orlej Perci" i po czymś takim weszli na szczyt. Jest to rodzaj antywspinania typowy dla komercyjnej konsumpcji i niestety dla PHZ. A jednak nasi guru nie wspomnieli o tej profanacji. Bo liny poręczowe są rodzajem smyczy, która trzyma na uwięzi zarówno PHZ, jak i cały polski himalaizm. Dla przykładu: Bielecki wszedł na K2 po komplecie ponad trzech kilometrów lin poręczowych, równolegle z około 30 innymi klientami. Majer kierował wyprawą na pseudodziewiczy Magic Line na K2, oczywiście po starych francuskich oraz nowych poręczach. Urubko w swojej Koronie Himalajów nie uniknął lin poręczowych, bo ośmiotysięczników bez

lin poręczowych prawie nie ma. „Styl pozostaje do poprawienia" brzmi groteskowo dumnie.

To dlaczego Szerpowie wcześniej nie zdobyli K2 zimą?

– Z oczywistych powodów finansowych i mentalnych. W Szerpach dopiero w ostatnich latach budzą się ambicje sportowe i poczucie swojej klasy, lecz ciągle brakuje im zrozumienia wartości sportowej, eksploracyjnej oraz stylu. Spełniają się w medialnych rekordach. Ponadto K2 zimą wymaga wyłożenia dużych pieniędzy, a dla nich góry to dochód, a nie strata – są źródłem utrzymania ich rodzin i wiosek. W biznesie wyprawowym bywają bezwzględni. I tu zapewne kryje się jeszcze większa, mentalna przeszkoda. Umysł, czy to szerpański, czy europejski, zaprogramowany na pieniądze staje się „złotówą" i zawsze zdradza sztukę. Właściciele agencji wyprawowych nie bywają artystami alpinizmu.

Coś jeszcze pozostało w górach do zdobycia?

– Kiedy doświadcza się z górami wielkiej więzi, nie wypada ich zdobywać. Owo zdobywanie to krewniak niefortunnego „czyńcie sobie ziemię poddaną" – i tak właśnie postępujemy z górami. Messner kiedyś wyraził opinię, że historia himalaizmu się skończyła. Odczułem to jako niedorzeczność. Jestem przekonany, że eksploracja przestrzeni górskiej oznacza w istocie eksplorację siebie samego. Wiem, że poczucie więzi z górami może ewoluować do potężnego doświadczenia jedności; w moim wypadku wniosło ono w życie absolutnie nową, budującą jakość. Zatem powiem przekornie, że historia himalaizmu dopiero się zaczyna. Nawet rejestry tradycyjnej eksploracji są dalekie od wyczerpania.

Czyli co dalej?

– Warto zauważyć, że środowisko sportowej wspinaczki skalnej rządzi się bezwzględną zasadą, która uznaje, że sportowe przejście w skale musi być zrealizowane samodzielnie i bez jakichkolwiek sztucznych ułatwień. Podobnie wartość ambitnego himalaizmu zaczyna się tam, gdzie rezygnujemy ze sztucznych ułatwień i pojawia się czysta relacja – czyli uczciwa samodzielność pojedynczego zespołu wspinaczy, sam na sam w kontakcie z żywiołem górskim. Zbiorowy zdobywczy wysiłek oznacza zbiorowy gwałt na górze, nie ma nic wspólnego z wyzwaniem sportowym, z głębszą ludzką więzią z górami. Różnica między himalaizmem uprawianym w wielkiej zdobywczej wyprawie a himalaizmem realizowanym w małym, samodzielnym zespole jest jak między seksem w burdelu a seksem w intymnej, osobistej więzi. Czas, aby to również zrozumieli dziennikarze szerokiego nurtu. Wierzę, że kończy się era kołchoźniano-militarnych wypraw. Chyba bardziej inspirują mnie wyczyny nagich morsowiczów na Babiej Górze niż pełzanie zimą po himalajskich parkach linowych.

To dlaczego największym wyprawom kibicuje świat?

– Dramatem himalaizmu jest, że żerują na nim media i grają kliszami popkultury: gwiazdorstwem, rywalizacją, śmiercią – i na tym zarabiają. Kreują bożków, jak Korona Himalajów lub właśnie K2 zimą. Wierzę, że standard czystej relacji będzie się umacniać w głowach wspinaczy, ale czy przebije się do mediów? Komunikowanie z mediami bywa trudne, nieraz żenująco ryzykowne.

Dlaczego?

– Kiedyś w kontekście mojej bardzo ryzykownej kariery wspinaczkowej dziennikarz zapytał mnie, jak to się stało, że w ogóle

przeżyłem. Odpowiedziałem przewrotnie – bo jestem tchórzem. Wydawało mi się, że dam mu do myślenia, na koncie miałem przecież jedną z najbardziej ryzykownych kolekcji wspinaczkowych w himalaizmie. Chodziło mi o zdolność komunikowania się z własnym strachem. Ale wyszedłem na głupka, dziennikarz zrozumiał mnie dosłownie i puścił tego „tchórza" w obieg – śmieszne i straszne! Media nie rozumieją sportowej i etycznej profanacji alpinizmu. Po prostu robią nam imprezę disco polo. Odczuwam więc sporą ulgę po wejściu Szerpów na K2, bo mam nadzieję, że zakończy ono kompletny upadek, który przez ostatnie 20 lat pustoszył polski himalaizm.

Co z nim jest nie tak?

– Właściwie wszystko. Przede wszystkim należy zauważyć, że wichury, niskie temperatury i cnota cierpliwości w oczekiwaniu na okno pogodowe nie stanowią istoty alpinizmu, podobnie jak morsowanie. Himalaizm zimowy budzi mój szacunek, ale, na litość boską, sposób jego realizacji przez jego twórców wpędzał nas przez 20 lat w tandetę sportową i pogrążał w upadku etycznym. Polski Himalaizm Zimowy oznaczał rządy urodzonych piechurów wysokościowych, takich jak Hajzer, Wielicki, Majer, zatem spychany był na łatwe klasyczne drogi pozbawione trudności technicznych. Tu i ówdzie pojawiał się stok o nachyleniu 55 stopni, gdzie trzeba podeprzeć się czekanem, ale nie były to ściany fascynujące estetyką pionu, tylko zbocza o nastromieniu dachu góralskiej chaty. Co gorsza, te zbocza od 20 lat są obiektem tradycyjnych wypraw z poręczowaniem i tragarzami wysokościowymi, które cofają mentalnie polski himalaizm do czasów pionierskich.

Niepojęte, że wśród tych panów istnieje przyzwolenie na rażąco nieetyczne posługiwanie się tragarzami wysokościowymi, których

życie kupuje się za grosze. W konsekwencji program budowania chwały narodowej przekształcił się w program zagłady narodowej – zarówno w sensie górskich śmierci, jak i w sensie wykończenia ducha wspinania. Z polskiej mentalności wspinaczkowej została wyeliminowana eksploracja dziewiczych rejonów, zanikł udział w stylu alpejskim i wreszcie wyparowała ambicja poszukiwania pionu i wybitnych trudności. Zostały jedynie celebrowane przez media roboty wysokościowe, postrzegane przez kolejne pokolenia polskich wspinaczy jako wzorzec i norma. Garstka wybitnych wspinaczy pozostaje w cieniu.

A może te „roboty wysokościowe" to jednak najlepszy sposób?

– To najskuteczniejszy sposób konsumpcji ośmiotysięczników. Szerpowie świetnie to pokazali. Ale jaki tego sens? Czym jest współczesne wejście żebrem Abruzzich na K2, które od lat pozostaje obwieszone kilkoma kilometrami lin poręczowych i drabinek? Ano przejściem nieustającej „Orlej Perci". Realizowane jest fikcyjne wejście nie na dumną górę o nazwie K2, tylko na kompletnie sztuczną konstrukcję zbudowaną na jej stokach. Nie ma tu miejsca na kontakt człowieka ze skałą i lodem czy, szerzej ujmując, z żywiołem przyrody, pozostaje tylko popychanie przyrządu zaciskowego po sztucznej konstrukcji. To nie ma nic wspólnego z ideą alpinizmu – jedną z najpiękniejszych dyscyplin zredukowano do disco polo.

Jak do tego doszło?

– Źródeł upadku należy szukać, jak zwykle, u szczytu chwały. Dopóki nasz himalaizm napędzany był bezinteresowną pasją, mieliśmy zachwycające osiągnięcia, pierwsze wejścia na wybitne dziewicze szczyty, fenomenalne zjawisko kobiecego alpinizmu,

zatrzęsienie nowych dróg na ośmiotysięcznikach, no i cudowną czystą relację z górami w stylu alpejskim. Ale to zmieniło się w spektakl medialny. Żądza sukcesu publicznego wymusza etyczne i sportowe faule, wkradły się tandeta wspinaczkowa robiąca za superwyczyn, oszustwa i górskie tragedie. Pierwszą wielką trucizną były igrzyska o nazwie Korona Himalajów, które szybko przeistoczyły się w igrzyska śmierci.

Co złego jest w gromadzeniu szczytów?

– Nic. Każdy z nich jest fenomenem. Pytanie – czemu to służy? Gdy rejestr kolejnych szczytów staje się rejestrem chwały, góry stają się obiektem konsumpcji, a spektakl domaga się nieustannego karmienia, pojawiają się drogi na skróty i zastępy trupów.

Wyścig Kukuczki z Messnerem?

– To oczywiste. Po raz pierwszy góry zamienili w stadion. Rejestr tego wyścigu stał się o wiele ważniejszy niż sens wspinania. Wystarczy przyjrzeć się trzem zimowym wejściom Kukuczki – na Dhaulagiri, Czo Oju i Kanczendzongę. Jurek dołączał do wypraw po odwaleniu przez resztę wspinaczy całej trudnej roboty, gdy każda z tych gór, po tygodniach mozolnych prac wysokościowych, wyposażona była w liny poręczowe i obozy. Jurek wkraczał na gotowy park linowy. Te wejścia były zaprzeczeniem idei wspinania i sportowego fair play. Dla przykładu: na Dhaulagiri dotarł ponad 25 dni po założeniu bazy, gdy góra była wyposażona w liny i obozy do wysokości 6800 m. Uniknął blisko miesięcznej wspólnej harówy. Na Czo Oju dołączył trzy dni przed końcem wyprawy, gdy góra była już zamieniona w komfortową „Orlą Perć" z trzema kilometrami lin poręczowych, Jurek wpiął małpę w ten park i pociągnął do szczytu. Na Kanczendzondze włączył się do akcji około

trzech tygodni po założeniu bazy, gdy mocny zespół kolegów wyposażył już górę w 1400 m lin poręczowych i założył depozyty obozowe do wysokości około 7200 m.

Historie tych wejść wymuszają pytanie: czego Kukuczka właściwie dokonał? Przecież te wejścia były wzorcem klientowskiego udziału w wyprawie komercyjnej, w dodatku bez opłaty, bo w PRL-u wszyscy byliśmy przyjaciółmi i Jurek miał za darmo. Był chyba najtwardszym gościem w całym himalaizmie, tyle że te wejścia były aktami heroizmu w robotach wysokościowych.

Niestety, upadanie złotych dekad jeszcze bardziej objawia się w upadku etycznym – w igrzyskach śmierci i przemilczanych oszustwach wspinaczkowych.

Nie mam szans sporządzić tutaj monografii wszystkich tragedii i kłamstw, zwłaszcza że najnowsze czasy wzbogacają historię. Chyba matką polskich oszustw wspinaczkowych i upadku przyzwoitości jest Broad Peak. Zacznijmy od wierzchołka Broad Peaku Middle, bliskiego mi, bo byłem na nim z Kukuczką w 1984. Według himalajskich kronik w lipcu 1975 na dziewiczy Broad Peak Middle weszli Kazimierz Głazek, Janusz Kuliś, Marek Kęsicki, Bohdan Nowaczyk i Andrzej Sikorski. Trzej ostatni zginęli podczas zejścia. Broad Peak Middle był w tamtych czasach jednym z trzech ostatnich niezdobytych wierzchołków ośmiotysięcznych. Tuż po wyprawie Romek Bebak oznajmił, że wejścia na szczyt nie było. W świetle ostatnio opublikowanych archiwalnych raportów uczestników tego rzekomego wejścia, w świetle informacji przekazanych przez najbliższego świadka wydarzeń Romka Bebaka i wreszcie w kontekście mojej osobistej znajomości rejonu szczytu również ja jestem przekonany, że tego wejścia nie było.

Co się tam wydarzyło?

– Prawdę zdradza opis rzekomego szczytu i otoczenia. W załamującej się pogodzie Głazek został zablokowany liną przez asekurującego go Kulisia przy skałce szczytowej. Po krótkiej debacie wspólnie uznali, że osiągnęli szczyt, a Głazek zdeponował przy skałce pojemnik z nazwiskami członków zespołu. Zarówno z raportu Głazka, jak i z relacji Bebaka jednoznacznie wynika, że w momencie osiągnięcia owej skałki szczytowej obaj wciąż znajdowali się w stromym terenie grani, wymagającym asekuracji. Tymczasem rejon szczytu Broad Peaku Middle stanowi całkowicie śnieżna i zupełnie łagodna kopuła. Nie ma tam żadnej skałki. Głazek i Kuliś nawet nie wyszli ze stromej części grani. Potwierdzają to współczesne zdjęcia pokazujące rejon szczytu. Również ja pamiętam dobrze te około 100 metrów łagodnego zejścia ze szczytu po śniegu w kierunku grani, zanim dotarłem do pierwszej skałki i rozpoczęliśmy zjazdy granią.

Ktoś to sprawdził?

– No właśnie. Tu się rozpoczyna, w imię wspólnego dobra „Kościoła Polskiego Związku Alpinizmu", kolejny etap upadku. Skąd my to dzisiaj znamy? Historie kilku oszustw do dzisiaj jątrzą w środowisku, ale nie ma mocnych. PZA zignorował sensacyjne oświadczenia Bebaka. Jeszcze trudniejsza sytuacja powstała po rzekomym wejściu Wandy na Annapurnę. Trudno nie darzyć Wandy szacunkiem, ma na koncie nowatorskie kobiece wyprawy. Na K2 i Everest weszła przed mężczyznami, jako pierwsza Polka. Może robić za prekursorkę i ikonę ruchu gender. Kiedy jednak rozpoczęła swoją „karawanę marzeń" ku Koronie Himalajów, pogubiła się. Traciła nie tylko siły, ale także zdolność ich oceny i rozsądek w strefie śmierci.

Co się wydarzyło na Annapurnie?

– Oczywiście dotarła w pobliże wierzchołka Annapurny – tam spotkał ją Ryszard Pawłowski, który schodził właśnie ze szczytu. Wanda została na biwaku spory kawałek przed szczytem. Następnego dnia Wielicki wypatrzył ją z bazy, jak wstaje i rusza w kierunku szczytu. Tę relację słyszałem bezpośrednio od Wielickiego. Po krótkim odcinku zatrzymała się jednak i zawróciła. Po powrocie do bazy ku zdumieniu reszty oświadczyła, że była na szczycie. No i zrobiło się nieprzyjemnie. Wkrótce Wanda zdziwiła wszystkich jeszcze bardziej i oświadczyła, że tego poranka nigdzie nie podchodziła, że oskarżenia są podłe i co więcej, że wierzchołek osiągnęła poprzedniego dnia wieczorem. Gorycz i siła perswazji Wandy zbijały wszystkich z tropu.

Jak to zrozumieć?

– Niegdyś zdarzył mi się zachwycający, prawie ekstatyczny sen. Śniło mi się, że ze zdumiewającą lekkością wchodziłem, jeden po drugim, na kolejne ośmiotysięczniki. Stan ekstatycznej satysfakcji był tak silny, że kiedy się obudziłem, nie odpuszczał. Niby rozumiałem, że to tylko sen, ale siła satysfakcji trwała niewzruszona przez kilka dni. Czułem się, jakbym naprawdę wszedł na te wszystkie góry.

Próbuję więc zrozumieć – może Bogu ducha winny Wielicki miał piękny sen, że Wanda nie weszła, a może Bogu ducha winna Wanda miała piękny sen, że weszła. Bądź tu mądry. Tyle że w Polsce uparta Wanda przedstawiła dziwny dowód – poruszoną fotografię ze szczytu, bardzo marnej jakości, już po zachodzie słońca. To zdjęcie zestawiono z takim samym ujęciem ze szczytu Pawłowskiego i znowu nie wiedziałem, czy to jawa, czy sen. Widać

jednoznacznie, że zdjęcie Wandy zostało zrobione z innego miejsca, grań w dole widoczna jest pod innym kątem, a odległe plany są względem siebie przesunięte.

Co na to Polski Związek Alpinizmu?

– Wiadomo, dobro Kościoła PZA wymaga poświęceń, wejście zostało „uznane", choć nawet bystry w trygonometrii licealista widzi, co jest grane. Na koniec nie potrafię w naszej rozmowie ominąć mojej przygody z Wielickim, bliskiej mi jak koszula ciału. Chodzi o jego sprytną manipulację dotyczącą jego rzekomej drogi na wschodniej ścianie Dhaulagiri.

To przecież pana ściana, chyba z roku 1980?

– No niby tak, ale przez dobre 20 lat stopniowo stawała się coraz mniej moją, a coraz bardziej ścianą Wielickiego. Droga powstała w zespole z Ludwikiem Wilczyńskim, René Ghilinim i Alexem MacIntyre'em w 1980. Wielicki przeszedł ścianę dziesięć lat później, w 1990. Kiedy zaprezentował ową „drogę Wielickiego", zdębiałem. Sprytny wybieg polegał na tym, że wrysował na zdjęciu tę niby swoją drogę z roku 1990 pół centymetra obok naszej linii. Obie linie pomykają na wysokości około 2000 m, tuż obok siebie, na wąskim paśmie lodu, jedynie pierwsze około 150 metrów rzeczywiście przebiegało samodzielnie. Roszczenie było po prostu bezczelne, bo nie istnieje coś takiego jak tworzenie nowej drogi na paśmie lodu tuż obok starej drogi. W dodatku w 1980 każdy z nas, podobnie jak Wielicki, wspinał się w ścianie solo, niezwiązany, każdy zatem wybierał linię wspinaczki między płatami lodu i śniegu wedle własnego gustu. Czyli, podążając za sprytem Wielickiego, podczas naszego przejścia powstały cztery różne nowe drogi. Przez blisko 20

lat pojawiały się cierpliwe publikacje prezentujące tę drogę Wielickiego dokładnie w miejscu naszej drogi.

I co, wisiało to tak przez 20 lat?

– Unikając skandalu międzynarodowego, próbowałem cierpliwie sprostować sprawę z Piotrem Drożdżem w jego książce o Wielickim, ale mimo że Drożdż dostrzegał rażący przekręt, wyraźnie nie chciał Wielickiemu wyrządzić krzywdy i częściowe sprostowanie słabo wyszło, bo na zdjęciach w książce nadal brylowała droga Wielickiego. W końcu w przeddzień mojej prostującej publikacji w mediach międzynarodowych Drożdż dokonał na portalu Góry uczciwej prezentacji drogi. Jednakże sam Wielicki nigdzie niczego nie sprostował, no i proszę, parę miesięcy temu na portalu Wspinanie, który jest mistrzem w skłócaniu środowiska, znowu pojawia się kolejna publikacja o pięknej drodze Wielickiego na Dhaulagiri. Dopiero po proteście Wilczyńskiego została usunięta. Spryciarze wiedzą, że cierpliwe powielanie kłamstwa czyni z niego prawdę.

Czy to nie dlatego, że składy wypraw są źle dobierane?

– Czy można w ogóle dobrać fajny skład z rekrutacji w trybie łapanki narodowej? To bywa zlepek obcych sobie ludzi. Warto się przyjrzeć kompletowaniu składu na tragiczną zimową wyprawę na Broad Peak w 2013 roku. W tym czasie rozbłysnął himalajski talent Jasia Gołębia. W 2012 dokonał z Bieleckim pierwszego zimowego wejścia na G1. Marnotrawstwem i głupotą byłoby nie wykorzystać objawionego talentu. Zwłaszcza że skład na Broad Peak trudno było sklecić. Gołąb był zainteresowany, ale odmówiono mu skromnego wsparcia trzech lub czterech tysięcy dolarów na wyjazd w celu uzupełnienia zaległości aklimatyzacyjnych w stosunku do reszty

zespołu. Zamiast niego oprócz Bieleckiego dołączono do zespołu z łapanki narodowej obiecującego Artura Małka, weterana Macieja Berbekę i wysokościowego nowicjusza Tomasza Kowalskiego. Nasuwa się brzydkie podejrzenie, że akceptacja rasowego wspinacza w narodowym programie antywspinania burzyła wewnętrzny ład. Jestem pewny, że z Gołębiem Broad Peak zimą byłby inną, znacznie bezpieczniejszą wyprawą. Warto zauważyć, że w następnym sezonie Gołąb wszedł bez tlenu na K2.

A Kowalski i Berbeka zginęli na Broad Peaku.

– Czas chyba przejść do igrzysk śmierci. Historia tej tragedii to kolejny film o upadku przyzwoitości w polskim wspinaniu. W zejściu z Broad Peaku zmarło dwóch uczestników zespołu szczytowego, Kowalski i Berbeka. Wizja umierających samotnie z wycieńczenia wspinaczy jest straszna, ale równie odpychająca jest narracja uczestników tej tragedii. Trzeba zaznaczyć, że wejścia kupą na szczyt prawie się nie zdarzają, rozproszenie wspinaczy jest od dawna etycznie kontrowersyjną normą. Skłonny byłbym bronić tych, co przeżyli, ale nie da się bronić niektórych szokujących komentarzy po tragedii. Bielecki potrafił powiedzieć, że to Kowalski i Berbeka porzucili go na grani, bo on zmęczony schodził, a oni parli do szczytu. Rzekomo sam walczył o życie i zszedł do obozu trzeciego w trzy godziny; nieźle jak na walczącego o życie. Nad ranem Kowalski nie dawał już znaku życia, a z bazy widziano światełko Berbeki schodzącego poniżej przełęczy, a więc kilkaset metrów nad obozem z Bieleckim. Rano tragarz wysokościowy Karim próbował szukać Berbeki, a Bielecki rozpoczął zejście do bazy i znowu wywołało to zarzuty o ucieczkę. Bielecki bronił się czymś w rodzaju sumiennej powinności członka wyprawy i tłumaczył, że wykonywał polecenie kierownika. Za to Karim w korespondencji

wyraził się, że gdyby miał partnera, być może uratowaliby Berbekę. Potrafię zrozumieć zmęczenie Bieleckiego, wybaczyć mu strach i pośpiech, ale kiedy rozterkę etyczną w tragicznej sytuacji sprowadza do żołdackiej karności, tracę wiarę w sens himalaizmu.

Upadek przyzwoitości postępował dalej. W Polsce wersja wydarzeń zmieniała się: okazało się, że nikt Berbeki schodzącego z przełęczy nie widział, że to kucharzowi się przywidziało. Ciekawe, jak kucharz rozpoznał swoje omamy? Zaś nagrania rozmów z umierającą na grani dwójką, znajdujące się w rękach Wielickiego, spotkał bulwersujący los, ich część zniknęła. Zarówno rodzice Tomka, państwo Kowalscy, jak i Jankowski z komisji PZA potwierdzali brak w nagraniach pewnych plików.

Było więcej takich przypadków?

– Górskie śmierci tamtych czasów pełne są kontrowersji. Razi ich nieuczciwa medialna prezentacja. Śmierci w książkach o Kukuczce robią za element etosu dzielności i bohaterstwa. Dla mnie pozostają etycznym koszmarem, o którym przez 30lat nie potrafiłem mówić. Śmierć bywa celebrowana lub przemilczana, podobnie jak jej etyczne okoliczności. Raz nagonka, innym razem cisza. Podczas wyprawy Hajzera na Lhotse w 2012 roku zginął Temba Sherpa, który był „siłą najemną". Czy słyszała pani o tej śmierci? Śmierć Szerpy jest medialnie niezręczna, bo przecież zginął za tysiąc dolarów, budując sportową fikcję PHZ. W 1974 roku w zejściu z obozu trzeciego (7300 m) zamarzł operator filmowy Stanisław Latałło, który schodził z Tadkiem Piotrowskim i Jurkiem Surdelem. Ta śmierć, przeciwnie, spotkała się z ostrymi sankcjami PZA, który winą obciążył Piotrowskiego, wykluczając go ze środowiska. Tymczasem Piotrowski w ogóle nie miał pojęcia, że Latałło został sam na drugim końcu liny poręczowej, bo Surdel cofnął się do

obozu. W dodatku odmrożony Piotrowski stracił czucie w stopach. Tymczasem Latałło w ogóle nie był alpinistą i nie powinien znaleźć się zimą na tej wysokości, a spektakularna kara podyktowana była interesem PZA. W przypadku śmierci Koniaka na Annapurnie Południowej znowu prawie jej nie zauważono, mimo że jej okoliczności były etycznie rażące. Koniak schodził asekurowany liną z góry przez Wielickiego, a jednak poleciał około ośmiu metrów, potłukł się i pół godziny później zmarł. Zabiło go zaniedbanie asekuracji ze strony Wielickiego.

Wydawało się, że w górach partner jest gwarantem bezpieczeństwa.

– W taternictwie wciąż żywe jest kultowe powiedzenie, że partnera nie porzuca się, nawet kiedy jest grudą lodu. Historia polskiego wspinania jest tragiczna i pełna ofiar, w dużej mierze z powodu przypadkowego partnerstwa, które w dodatku bywało podszyte rywalizacją. Gdyby Bielecki był na grani Broad Peaku z siostrą lub z ojcem, zapewne przeżywałby większe rozterki, nie mówiąc o komentarzach po tragedii.

Niełatwo jest oceniać cudze granice.

– Oczywiście, dlatego nie ważyłbym się oskarżyć Kukuczki, Wielickiego czy Bieleckiego o te śmierci, ale oskarżam ich o brak wrażliwości. Z pewnością niektórych partnerów mogli ocalić. To straszne kariery – Kukuczka i Wielicki asystowali przy dziewięciu partnerskich śmierciach. Jeden i drugi, jak wielki odźwierny, co jakiś czas otwierał partnerowi wrota w zaświaty. Do licha, w imię jakich wartości – wyścigu, sławy? Co to za linia życia? Śmierć szpeci obraz himalaizmu. Na ostatnich kilkuset metrach na Everešcie przez lata

zalegało kilkanaście zwłok. Cholernie nieapetyczna jest ta wysokogórska konsumpcja.

W 1986 Kukuczka i Wielicki dokonali pierwszego zimowego wejścia na Kanczendzongę. Obaj mieli znakomitego nosa do szczytu, ale kompletny brak wyczucia do umierającego partnera. Już w niższym obozie Czok całą noc kaszlał i choć dostał jakąś kurację medyczną, był żałośnie słaby. Wyżej, przed atakiem szczytowym kaszel, osłabienie pogorszyły się i o świcie nie miał siły iść do góry ani w dół. Zszedł kawałek, po czym został zwleczony do niższego obozu przez ratujących kolegów, którzy dopiero co całą górę zaporęczowali właśnie dla Kukuczki i Wielickiego. Wieczorem Czok zmarł z powodu obrzęku płuc. Niby każdy himalaista wie, czym jest obrzęk płuc i jak się objawia, a jednak, rzekomo, nie połapali się. Co więcej, w drodze na szczyt Kukuczka wyłączył radiotelefon. Nie wiem, co byłoby w stanie obudzić jego wrażliwość. Być może Jurek zareagowałby, gdyby Chrystus na krzyżyku, który nosił na szyi, nagle ożył i szepnął mu: „Jurek, uważaj, Czok umiera".

Ale pan jakoś nie zderzał się z takimi rozterkami...

– Omijały mnie takie dramaty pewnie dlatego, bo z moimi partnerami byliśmy całkowicie zdani na siebie. Mimo niezwykle ryzykownej kolekcji wspinaczek, bez jakiegokolwiek zaplecza, bez możliwości powrotu, nikt z nas nawet się nie skaleczył. Kto wie, może właśnie całkowite zdanie się na łaskę góry uruchamia ukryty szósty zmysł. Dwa razy podczas wspinania się z Kukuczką – również na Broad Peaku i na Gaszerbrumie Wschodnim – zdarzył mu się kryzys. Miałem spieprzone całe wspinanie, bo zamieniałem się w rejestrator jego stanu. Partner chorujący jest obciążeniem gorszym od własnej choroby. Żaden ze mnie chrześcijanin, ale przekonuje mnie parafraza znanego przykazania chrześcijańskiego, które w

himalaizmie powinno brzmieć: będziesz dbał o partnera swego jak o siebie samego. Właściwym mentalnym ćwiczeniem dobrego partnerstwa wydaje mi się wyobrażenie, że wspinam się z własnym dzieckiem lub ze swoją partnerką serca. Gdybyśmy ćwiczyli taką wizualizację, to być może Czok, Kowalski, Berbeka czy wielu innych przeżyłoby.

Wspinanie w czystej relacji z górami, w stylu alpejskim, nie tylko oznacza wyższą sportową jakość, lecz także stanowi o głębszych więziach partnerskich. Miałem dwóch czy trzech partnerów, z którymi więź była na tyle wyjątkowa, że kto wie, może w ich przypadku zostałbym z grudą lodu. Wolę nie myśleć, czy podołałbym tej strasznej wierności wobec obcego. W małym zespole, sam na sam z górą, skazani jesteśmy na lojalność. Nawet gdyby dwóch skurwieli spotkało się w ścianie, to jednak, skazani na siebie, pewnie wykrzesaliby z siebie ludzkie odruchy. Ale nawet w małym zespole zdarzają się szokujące zachowania.

Co ma pan na myśli?

– Podczas pierwszej próby szczytowej na Gaszerbrumie I z Kukuczką straciłem raka. Po cofnięciu się do namiotu na 7300 m Kukuczka oznajmił, że następnego dnia spróbuje wejść sam – innym, łatwiejszym wariantem. Jego upór dotknął mnie do żywego, oznaczał bowiem to, że zostawi mnie na 7300 m samego, bez raka, bez liny, bez żywności. Rozgoryczony zżymałem się z tą paskudną świadomością i w końcu obudziła się we mnie złość. OK, skoro jesteśmy partnerami skazanymi na siebie, to będziemy męczyć się razem. Postanowiłem, że pójdę w górę z tym jednym rakiem, choć było to cholernie ryzykowne – coś jak wejście w północną ścianę Mięgusza sięgającą 800 m. Wolałem to jednak niż rozgoryczone, samotne kwitnięcie na 7300 m. Stał się cud, bo rak się odnalazł po

200 m. Była to jedna z okoliczności, która kończyła nasze partnerstwo.

A jednak w 1986, zwiedziony sentymentem, wróciłem do niego podczas wyprawy na Manaslu. W trzy tygodnie diabli wzięli lata przyjaźni. Jurkiem rządziła ślepa ambicja wygrania tego cholernego wyścigu. Nie kontaktował z zagrożeniem, jakby miał w głowie czarną dziurę z nakazem: Korona Himalajów. Posuwał się do dyktatu ryzyka. Dwukrotnie był bliski wyprawienia zespołu na drugi świat. Lawiny schodziły co chwilę wszystkimi stokami, a on próbował zmusić zespół do wejścia w jedyny stok, wciąż brzemienny masami śniegu. To była rosyjska ruletka, tyle że nie z jedną, lecz z pięcioma kulami na sześć komór. Parę tygodni później, już beze mnie, powtórzył ten sam numer w jeszcze gorszej wersji, wyznaczając kolejno Carlosa Carsolio i Hajzera do testowania lawinowego stoku. Za każdym razem chłopcy spadali, dopiero po drugiej lawinie Kukuczka się opamiętał. A przecież w tym czasie miał za sobą, na przestrzeni dwóch ostatnich lat, śmierci czterech partnerów. Nie potrafiłem pogodzić się z jego postawą i uciekłem od niego na zawsze. Przez 30 lat nie potrafiłem wykrztusić z siebie na ten temat ani słowa.

Czy wspinacze nie mówią partnerom: „Nie dam rady, wejdziemy innym razem”?

– Nie wyobraża sobie pani, jak upokarzające bywa dla wspinacza poddanie się. Każdy z nas odczuwa je jako utratę honoru i statusu wojownika. Wolą powiedzieć: „Wiesz, ja mogę iść, ale będą jaja”. To kultowy cytat z historii taternictwa. Wiele z tej sytuacji miały w sobie okoliczności śmierci Tadka Piotrowskiego. Warto zauważyć, że Piotrowski był jednym z największych twardzieli w historii polskiego wspinania. Rosjanie mówili o nim z podziwem „połtora

czeławieka". I ten twardziel podczas wejścia na K2 z Kukuczką, po dwóch nocach powyżej 8000, co najmniej dwa razy prosił Jurka o rozwagę i wycofanie. W dodatku przekraczał 8000 m po raz pierwszy w życiu. Ale jego prośby nie miały szansy, do szczytu było tylko około 200 lub 300 m. Jurek nie ustąpił. Po trzecim i czwartym biwaku powyżej 8000 m obaj byli śmiertelnie wyczerpani. Wie pani, co Piotrowski krzyknął, gdy odpadł mu drugi rak i runął obok Kukuczki w przepaść? Jedno słowo: „Jurek!". Wciąż, do dzisiaj, ten jego krzyk, to jedno słowo, rozpierdala mnie.

Oczywiście Jurek nie zabijał swoich partnerów, tyle że z pewnością mógł ich ocalić. I tu tkwi cholerstwo ambitnego himalaizmu. Kiedy Jurek opowiadał mi o tym jednym słowie Tadka, widziałem, jak pochmurniała jego powściągliwa twarz. Myślę, że niektóre z tych śmierci wywoływały w nim wyrzuty sumienia, ale co z tego, już po paru miesiącach, jak na Manaslu, wielki odźwierny otwierał kolejne wrota w zaświaty. Cztery trupy w dwa lata. Wielicki swoich pięć trupów miał bardziej elegancko rozparcelowanych w czasie.

Jestem przekonany, że wieloletnie ocieranie się o zagrożenie i śmierć pozbawia wspinacza poczucia zagrożenia. Strach przestaje rządzić, dzielność przychodzi łatwo. Sadzę, że ślepa ambicja nie zna dzielności.

Może niezbyt wyraźnie mówili, że mają dość?

– Ma pani na myśli, że nie błagali? Cholera, nawet małżonkowie nie lubią siebie błagać. Wyjaśniałem już, wspinacze mają poczucie godności, takie proszenie się o odwrót to plama na honorze. Więc raczej mówią: „Mogę iść, ale będą jaja".

Nawet jeśli chodzi o życie?

– Rzadko mamy pewność, że już chodzi o życie. Dręczące jest pytanie, czy moja słabość jest podszeptem podłego diabła słabości, czy głosem Opatrzności? Nigdy nie ma się pewności, że to kwestia życia, że za chwilę nie będzie odwrotu.

Był pan w takiej sytuacji?

– Mówienie o własnej słabości jest zabójcze dla sławy, ale zaryzykuję. Bez wglądu we własną słabość chyba trudno zrozumieć własną siłę. Najbardziej przejmującą była chyba moja ucieczka spod zachodniej ściany Czo Oju. O zmierzchu odmówiłem nocnego wejścia w ścianę omiataną co chwilę przez lawiny. Zagrożenie było tak wyraźne, że bariera strachu stawała się nie do przezwyciężenia. Ku mojemu zdumieniu Erhard Loretan i Jean Troillet postanowili wejść w ścianę. Nie wyobraża sobie pani, jak się czułem, kiedy tych dwóch dzielnie napierało w górę, a ja, podszyty tchórzem, ruszałem z podwiniętym ogonem w dół. Nie pomagała mi świadomość, że Jean i Erhard popełniają szaleństwo.

Jak się pan czuł?

– Upokorzony, było mi wstyd. Dwugodzinną trasę powrotną do bazy wlokłem się samotnie do północy, przez pięć godzin. Ledwo szedłem, jakbym wracał z najtrudniejszego szczytu. Zrozumiałem, że z powodu stresu psychicznego też można umrzeć. W pewnym momencie zobaczyłem dwa odległe światełka. Uf, nareszcie baza, cóż za uczucie ulgi. Wykonałem kolejny krok i nagle tuż przede mną rozległ się straszny ryk. Przerażony skoczyłem do tyłu i runąłem bezwładnie między kamienie – to koniec, pomyślałem. Ale nic się nie działo, zapaliłem czołówkę i tuż przede mną wyłoniła się dobroduszna morda jaka, a w niej te dwa odległe światełka, jego ślepia. Okazało się, że jestem w samym środku bazy. Mój strach

zamienił się w rechot śmiechu. Ale wesołość tutaj to tylko część satysfakcji. Była to jedna z najpiękniejszych i oświecających chwil w moim życiu. W ułamku sekundy zrozumiałem kompletną względność i złudę poczucia porażki. Mój wstyd i upokorzenie straciły w jednej chwili całą moc ranienia.

A co z pozostałymi?

– No cóż, ucierpieli bardziej ode mnie. Ledwo rozpaliłem kuchenkę gazową na herbatę, rozległ się jakiś hałas, szuranie i z ciemności również wyłonili się Jean i Erhard. Mój jak najwyraźniej ich nie rozbawił, bo naburmuszeni nie chcieli ze mną zamienić słowa. Dopiero następnego dnia Jean skruszony wyjaśnił, że prawie zabiła ich lawina. Z trudem utrzymali się w ścianie.

Kiedy czytam relacje, to mam wrażenie, że śmierć w górach to kolejny stopień wtajemniczenia.

– Trudno mi ocenić, czy „tylko stopień" i czy „kolejny stopień". Być może to wtajemniczenie ostateczne. Jestem przekonany, że kontakt ze strachem, z niebezpieczeństwem i wreszcie ze śmiercią robi w naszym życiu różnicę. Ale chyba różnie ją postrzegamy i przeżywamy. Dla jednego oznacza traumę, dla drugiego wzmocnienie. O śmierci wspinacze rozmawiają rzadko, podobnie jak inni ludzie. Zapewniam, że himalaiści śmierci się boją i nie szukają jej w górach. Przeciwnie – próbują jej zagrać na nosie.

Ale może łatwiej jednak umrzeć w górach, niż zejść i zestarzeć się tu, na dole?

– E tam, wolę jeszcze trochę pocierpieć na dole. Poniekąd mam własną śmierć w nosie. Odmawiam jej zarządzania moim życiem, a jednak bywam z nią w jakiejś ciągłej relacji, właśnie po to, aby się

nie panoszyła. Śmierć nie budzi we mnie stanów lękowych ani trwogi, a w konsekwencji nie ma władzy nade mną, gdyż tkwi we mnie cieszące poczucie, że jestem częścią większej całości, która jest niezniszczalna. Być może kluczem dla każdego jest odnalezienie w sobie pewnego zagubionego ogniwa – kiedy budzi się prawdziwe współczucie wobec innych ludzi i wobec świata, to własna niedola traci moc ranienia.

Niedołężność ciała pana nie przeraża?

– Z pewnością potrafi być straszna. Nie chciałbym być balastem dla bliskich. Wolałbym im tego oszczędzić, ale czy znajdę w sobie odwagę, aby ukrócić to zbędne cierpienie? Jako urodzony wspinacz nie lubię poddawania się ani uciekania od cierpienia, wolałbym wykazać dzielność do końca.

Dlaczego?

– Trudno to racjonalnie wytłumaczyć. Człowiek do końca wierny życiu budzi mój szacunek. Może chodzi tu o instynkt samozachowawczy, ale w szerszym duchowym sensie, czyli o instynkt ratujący duszę. Licho wie, co po nas pozostaje. Mam nadzieję, że ślad po tym godnym wysiłku pozostaje. A może jest to po prostu wyuczony dumny odruch nakazujący nie poddawać się, zwłaszcza gdy ciało boli i niedomaga. Mam kumpla, wspinacza, który jest owładnięty obsesją śmierci i samobójstwa. Dręczy go to. Bywa ze mną szczery. Kiedyś wysłał mi z gór zdjęcie pięknego drzewa z obłędnymi, daleko sięgającymi konarami. Podpisał: „Spójrz, zaprasza".

Co mu pan odpowiedział?

– Napisałem: „Przestań... przecież ja bym się zesrał ze strachu, czołgając się po tej gałęzi do celu. Możesz spaść i będzie obciach. Daj spokój, pomogę, jak już się zdecydujesz, to daj znać, przywiozę dobrą linę, siądę na wyższej gałęzi i zrobię ci górną asekurację. Przeczołgasz się po tej gałęzi, co zaprasza, bez robienia w majty, założysz pętlę na szyję i ziu...".

Co pani sądzi o takim partnerstwie?

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Musieli uciekać w panice

Śmierć dziewięciorga turystów w lutym 1959 roku na górze Chołatczachl (w języku Mansów – Górze Umarłych), na Uralu Północnym, do dziś pozostaje jedną z najbardziej poruszających zagadek XX wieku. Rozmowa z Anną Matwiejewą, autorką książki „Przełęcz Diatłowa".

LUDMIŁA ANANNIKOVA

FOT. YURI KRIVONISCHENKO

Jurij Judin odłączył się od wyprawy Diatłowa z powodu choroby – i przeżył.

23 stycznia grupa studentów i absolwentów Uralskiego Instytutu Politechnicznego wyruszyła na wyprawę narciarską na górę Otorten. Ekspedycji nadano trzeci, najwyższy stopień trudności. Na czele grupy stał Igor Diatłow, 23-letni student piątego roku wydziału radiotechnicznego.

Razem z nim na wyprawę wyruszyli studenci Aleksander Kolewatow, Rustem Słobodin, Zinaida Kołmogorowa, Ludmiła Dubinina i Jurij Judin; absolwenci Jurij Doroszenko, Gieorgij Kriwoniszczenko i Nikołaj Thibeaux-Brignolles, a także najstarszy i najbardziej tajemniczy uczestnik wyprawy, 37-letni Aleksandr

Zołotariow, instruktor z bazy turystycznej, który dołączył do grupy w ostatniej chwili.

Byli silni, wysportowani, przygotowani na trudne warunki pogodowe, doświadczeni w turystyce sportowej. Od ostatniej osady zamieszkanej przez geologów do góry Otorten turyści mieli przejść na nartach. Wtedy też z wyprawy zrezygnował Jurij Judin, dzięki czemu jako jedyny ocalał.

Wiadomo, że studenci szli wzdłuż rzeki Łoźwy, potem Auspii, a 31 stycznia dotarli na skraj lasu, gdzie zostawili część rzeczy oraz zapas jedzenia na drogę powrotną, i ruszyli dalej. Wieczorem 1 lutego Diatłow zdecydował o rozbiciu namiotu na zboczu góry Chołatczachl. Prawdopodobnie zdecydowały o tym pogarszające się warunki pogodowe.

Co było dalej, do dziś nie wiadomo. Gdy 12 lutego studenci, którzy zgodnie z planem mieli zakończyć wyprawę w miejscowości Wiżaj, nie dali znaku życia, rodziny się zaniepokoiły. Poszukiwania rozpoczęto jednak dopiero 21 lutego.

Pięć dni później ratownicy natrafili na pocięty nożem namiot grupy Diatłowa. Ślady pozostawione przez turystów wskazywały na to, że uciekali z niego w panice. Mimo że na dworze było minus 18 stopni, niektórzy nie mieli na nogach butów.

Jako pierwszych znaleziono ciała Kriwoniszczenki i Doroszenki. Leżeli pod wielkim cedrem półtora kilometra od namiotu. Byli częściowo rozebrani. Obok nich ratownicy zauważyli ślady paleniska. Dookoła studentów leżały gałęzie cedru, które – jak później się okaże – łamali, wspinając się na drzewo na wysokość nawet 4 metrów.

300 metrów dalej znaleziono ciało Igora Diatłowa. Był ubrany w kalesony, spodnie narciarskie, koszulę, sweter i futrzany bezrękawnik. Nie miał natomiast butów, a na nogach miał dwie różne skarpety.

Bez butów była również Zina Kołmogorowa, znaleziona niedaleko Diatłowa. Na twarzy miała ślady krwawienia z nosa.

W marcu ratownicy odkopali ze śniegu Rustema Słobodina. Pozostałych czterech uczestników wyprawy znaleziono dopiero w maju, gdy stopniał śnieg. Zołotariow i Dubinina mieli połamane żebra, a Thibeaux-Brignolles uszkodzoną czaszkę.

Śledztwo, które bardzo szybko zamknięto, nie wyjaśniło, co się stało z turystami. Wykazało jednak, że na części ubrań turystów były ślady substancji radioaktywnych.

Z kolei mieszkający w okolicy Mansowie mówili w zeznaniach o ognistej kuli, którą widzieli tamtej nocy na niebie.

Ostatecznie śledczy uznali, że przyczyną śmierci grupy było nieokreślone zjawisko pogodowe, którego sile turyści nie byli w stanie się przeciwstawić. Po czym dokumenty utajniono na długie lata.

Przez 61 lat powstało ponad 75 wersji tego, co się zdarzyło na Górze Umarłych w noc z 1 na 2 lutego 1959 roku. Wśród nich był atak zbiegłych więźniów z pobliskiego łagru, bójka wśród uczestników wyprawy, nieudane testy broni, bomba sodowa, upadek rakiety, UFO, a nawet atak karłów z Arktydy (kontynentu na Oceanie Arktycznym).

Na cześć przywódcy wyprawy miejsce, gdzie doszło do tragedii, nazwano Przełęczą Diatłowa.

Rosyjska pisarka Anna Matwiejewa w swojej książce bierze pod lupę część wersji wydarzeń i przedstawia własną.

LUDMIŁA ANANNIKOVA: Kiedy pani po raz pierwszy usłyszała o grupie Diatłowa?

ANNA MATWIEJEWA: To był 1996-1997 rok. Telewizyjna Agencja „Ural" wypuściła dokumentalny film „Tajemnica Przełęczy Diatłowa", który był pierwszą próbą opowiedzenia o śmierci dziewięciorga studentów w 1959 roku. Historia mnie przeraziła, a wiele rzeczy zostało niewyjaśnionych. Zaczęłam w tym grzebać.

Jak to możliwe, że rdzenna mieszkanka Jekaterynburga – wcześniej Swierdłowska – dopiero pod koniec lat 90. usłyszała o tajemniczej śmierci studentów z jej miasta? Nikt o tym nie mówił w rodzinie, na podwórku?

– No właśnie nie! Kiedy już pracowałam nad książką, ojciec wyznał, że słyszał o tej historii, ale nie rozmawiało się o niej. Temat starano się przemilczeć i wszyscy to rozumieli.

Jak pani myśli, dlaczego?

– Być może ludzie czuli, że może to być niebezpieczne. Dużo rzeczy w tej sprawie było niepokojących: dlaczego studentów chciano pochować w małej miejscowości Iwdel, a nie w Swierdłowsku, z którego pochodzili, dlaczego Chruszczow od samego początku interesował się sprawą i czemu śledztwo tak szybko zamknięto.

Przez lata powstało ponad 75 różnych wersji tego, co się wydarzyło na górze Chołatczachl.

– Tam, gdzie brakuje informacji, pojawiają się domysły, a ta historia to zagadka na zagadce. Gdyby ktoś chciał ją wymyślić, nie dałby rady. Dziewięcioro wspaniałych studentów uralskiej politechniki, elita komunizmu, wysportowanych, doświadczonych w turystyce, przygotowanych na wysiłek i mróz, idzie na wyprawę z okazji XXI Zjazdu KPZR. I nagle wydarza się coś tak strasznego, co zmusza ich do panicznej ucieczki z namiotu, w warunkach, w których mają niewielkie szanse na przeżycie. Część jest ubrana, ale część biegnie w samych skarpetach albo boso. Giną straszną śmiercią, mają tak różne obrażenia, że trudno ustalić jedną przyczynę.

Myślę, że odpowiedź na to, co się stało, leży gdzieś w archiwach. Byli ludzie, którzy znali prawdę. Pytanie, czy jeszcze żyją.

Jestem pewna, że studentów nie zabiło UFO ani karły z Arktydy (kontynentu na Oceanie Arktycznym). Prawda jest jednak taka, że żadna z wersji w pełni nie tłumaczy tego, co się stało.

Rosyjska prokuratura, która w 2018 roku wznowiła śledztwo, wykluczyła kryminalne wersje śmierci studentów i postanowiła skupić się na zjawiskach pogodowych.

– Sprawozdanie śledczych nie zrobiło na mnie wrażenia. Nadal uważam, że nie ma odpowiedzi. I myślę, że każdy, kto zna tę historię, pozostanie przy swojej wersji, o ile nie wypłynie jakiś tajny dokument, który wszystko wyjaśni. Dla mnie najważniejszą zagadką pozostaje to, że odzież turystów była skażona radioaktywnie. Skąd się wzięło promieniowanie radioaktywne w leśnej górskiej głuszy?

Jeden z uczestników wyprawy pracował w instytucie badawczym i miał do czynienia z substancjami radioaktywnymi.

– Ale takie substancje znaleziono nie tylko na jego ubraniu. I co ważne, wskaźniki promieniowania znacznie przewyższały normę. 1959 rok w ZSRR to była era rozwoju kosmonautyki, testowano różnego rodzaju broń.

Czyli rakieta?

– Całkiem prawdopodobne. Pytanie tylko jaka.

I czemu nie pozostały po niej ślady. W pani książce pojawia się wersja „zaczystki".

– Długo o tym myślałam i uważam, że ma ona rację bytu. Studenci zobaczyli coś, czego nie powinni byli zobaczyć, i dlatego zginęli. Czy ktoś celowo ich dobił, czy zostawiono ich, by umarli, tego nie wiemy. Wśród pozostałych po nich rzeczy znaleziono dodatkową parę butów i wojskową onucę, które nie należały do nikogo z grupy. W każdym razie dziesiąty uczestnik wyprawy, Jurij Judin, ich nie rozpoznał.

Judin zawrócił z wyprawy krótko przed tragedią z powodu rwy kulszowej.

– Pamiętam go z klubu sportowego, gdzie spotykali się ludzie zainteresowani sprawą diatłowców. Do końca życia nie mógł uwolnić się od tej historii. Szedł na spotkanie ze śmiercią i w pewnym momencie zawrócił ku życiu. A wracając do rzeczy diatłowców, ich wykaz, który znalazłam w dokumentach, był chyba jedną z najstraszniejszych rzeczy, jakie czytałam. Ludzi już nie ma, a pozostały po nich dziurawe skarpety, mandolina, pamiętniki. Chciałam, żeby to wszystko znalazło się w książce. Zamieszczenie w niej prawdziwych dokumentów było dla mnie bardzo ważne.

Od początku miała pani pomysł, żeby przeplatać rzeczywistość i fikcję?

– W ogóle nie wiedziałam, co to będzie za książka i dokąd mnie zaprowadzi historia. Gdy się ukazała, jeden z krytyków pochwalił „wirtuozerię, z jaką udało mi się odtworzyć język dokumentów". Nie zrozumiał, że to są prawdziwe dokumenty. Formę chwalił również znany literat Dmitrij Bykow. Napisał, że to najlepsza rzecz rosyjskiej literatury 2001 roku. Z kolei gdy książkę przetłumaczono na francuski, tamtejsi księgarze nie wiedzieli, w jakim dziale ją ustawić: literatury pięknej czy reportażu.

Jak zbierała pani materiał?

– Robiłam to samo, co moja bohaterka: rozmawiałam z krewnymi, siedziałam w archiwach. Praktycznie wszystko, co udało mi się znaleźć, jest w książce.

Głównej bohaterce w śledztwie pomaga Swieta, miłośniczka turystyki, która sporo wie o diatłowcach. Czy był ktoś taki w pani życiu?

– W rzeczywistości nazywała się Lena Kośkina. Dziś ma inne nazwisko, mieszka w Austrii. Była domorosłą ekspertką. Miała zdjęcia, dokumenty, kontakty do rodzin diatłowców. Po obejrzeniu dokumentu „Tajemnica Przełęczy Diatłowa" szukałam ludzi, którzy cokolwiek wiedzą o tragedii, i tak dotarłam do Leny. Bez niej zapewne tej książki by nie było.

W książce są elementy mistyczne, które prowadzą bohaterkę.

– Jestem osobą wierzącą, gdy zbierałam materiał, dziwiła mnie łatwość, z jaką do niego docieram. Miałam wrażenie, że ktoś prowadzi mnie za rękę. Nie musiałam dobijać się do żadnych drzwi.

Przychodziłam do archiwum partyjnego i dostawałam radiogramy ekipy poszukiwaczy. W tamtych latach to było zadziwiające. Poprosiłam krewnych jednej z dziewczyn o jej notatnik i oni mi go dali. Nie każdy by dał pamiętnik zmarłej siostry obcej osobie. Zaufanie, z którym ludzie mnie witali, dziwiło mnie. Wszyscy starali się pomóc.

Krytycy nazywają moją prozę uralskim realizmem magicznym. Nie lubię szufladkowania, ale uważam, że nasza uralska ziemia rzeczywiście jest niezwykła. Jekaterynburg słynie z tego, że pochodzi stąd ponadprzeciętna liczba utalentowanych ludzi, i jest hipoteza, że to z powodu promieniowania. [W 1957 r. w zakładzie atomowym Majak, 150 km od Swierdłowska, doszło do wybuchu zbiornika zawierającego 80 ton odpadów radioaktywnych. Przyczyną była awaria systemu chłodzenia. Trująca chmura pokryła terytorium o powierzchni około 23 tys. km kw. zamieszkane przez 270 tys. osób. Ewakuowano 10 tys., a 470 tys. narażono na działanie promieniowania jonizującego. 200 osób zmarło na chorobę popromienną].

Według pani o czym jest historia diatłowców?

– Przede wszystkim o niesprawiedliwości. Młodzi, silni, zginęli straszną śmiercią i nikt nie wie dlaczego. Nie chciałam, żeby o nich zapomniano, żeby ludzie machnęli ręką. Pierwsze honorarium z książki chciałam przekazać na odbudowę pomnika diatłowców na cmentarzu Michajłowskim w Jekaterynburgu, ale uniwersytecki klub sportowy nie chciał moich pieniędzy. Być może książka im się nie spodobała. Oddałam pieniądze do cerkwi, żeby co roku odprawiano za dusze studentów nabożeństwo. Nie wszyscy diatłowcy byli ochrzczeni, ale chciałam zrobić ten symboliczny gest.

Dla mnie to też historia o tym, jak sowiecka władza traktowała ludzi.

– Zawsze mówię, że czytelnik jest współautorem. Pisząc, miałam jedną koncepcję, pani ma inną i ona również ma rację bytu. Mnie się ta wersja podoba, bo książka oczywiście jest także o obojętności i okrucieństwie władzy.

Książka ukazała się w 2001 roku i była pierwszą próbą opisania tego, co się wydarzyło na Górze Umarłych.

– Pierwszą po latach. Wcześniej ukazały się jedna powieść i jedna książka dokumentalna, która bardziej przypominała długi artykuł prasowy. Po mojej książce wyszło natomiast kilkanaście innych. Nakręcono też kilka filmów. Dziś każdy może znaleźć dokumenty w internecie i prowadzić własne śledztwo.

Dlaczego nawet po 60 latach historia diatłowców wciąż przyciąga?

– Ponieważ pozostaje zagadką. Każdy myśli: na pewno się dokopię, dowiem się, jak było. Po 20 latach książka nadal się sprzedaje, a jej nakład przewyższa nakłady innych moich książek. Co ciekawe, dopiero parę lat po publikacji zyskała popularność. Nastąpił nagły wzrost zainteresowania tematem, który utrzymuje się do dziś.

Myśli pani, że ma to związek z amerykańskim filmem „Tragedia na Przełęczy Diatłowa" z 2013 roku?

– Trudno powiedzieć. Ten film był śmieszny, wiele rzeczy zostało w nim zmyślonych. Gdyby nie chodziło o ludzi, których traktuję jako część mojego życia, to może by nawet mi się podobał, ale diatłowców noszę głęboko w sercu i nie potrafię spokojnie patrzeć na to, jak ich się wykorzystuje w celach komercyjnych. Dziś są

organizowane wycieczki na Przełęcz Diatłowa. Zmarli turyści byli również tematem rozrywkowego show „Bitwa jasnowidzów", w których ci rzekomo próbowali ustalić, co się wydarzyło. Gdy zbliża się rocznica śmierci, dostaję telefony, czy nie chciałabym przyjść do telewizji, opowiedzieć o diatłowcach. Nigdy nie biorę udziału w takich programach, bo nie mam już nic do powiedzenia. A na tej tragedii nie chcę się promować.

Odpowiadam jedynie na listy czytelników. Ostatnio piszą głównie z zagranicy, bo książka została przetłumaczona na czeski, francuski, chiński. Jakiś czas temu napisał czytelnik z Meksyku. Koniecznie musiał się dowiedzieć, czy turyści mieli ze sobą strzelbę. Jakiś starszy pan ze Szwajcarii ciągle pyta, czy napisałam kolejną książkę o diatłowcach, i nie chce uwierzyć, że nie. Jeden z zagranicznych wydawców napisał z kolei, że jego zdaniem diatłowców zabił piecyk, który mieli w namiocie, że był źle złożony. Niedługo, jestem tego pewna, zaczną przychodzić listy od polskich czytelników, którzy będą próbować rozwiązać zagadkę. Wersji tego, co się stało, jest naprawdę mnóstwo. Najbardziej zaskoczyło mnie, kiedy starszy pan, mieszkaniec Uralu, ogłosił, że to on zabił diatłowców. Historia jest popularna, przyciąga też dziwaków.

Bardzo się cieszę, że książka ukaże się w Polsce. Moja prababcia była w połowie Polką, babcia urodziła się w Królestwie Polskim. Z kolei pradziadek był dyrektorem szkoły w Łowiczu, w której jednym z uczniów był Anton Denikin. Teraz pracuję nad powieścią bazującą na pamiętnikach babci. Dużo będzie w niej o życiu w Królestwie Polskim w czasach najgorszej rusyfikacji.

Była pani na Przełęczy Diatłowa?

– Nie byłam i nie zamierzam. Nie uważam, żeby to było potrzebne. Rozwiązania zagadki tam nie znajdę, a tak po prostu chodzić nie ma sensu, podobnie jak moja bohaterka nie jestem sportsmenką. Poza tym nie ma co kusić losu.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Lodowi wojownicy boją się kobiet

Kiedy mojej koleżance udało się zrobić superdrogę w Tatrach, panowie byli załamani. Padały teksty w stylu: „Po co będziemy tam chodzić, jak już baby to zrobiły?". Wybitna himalaistka Anna Czerwińska opowiada Łukaszowi Długowskiemu o wspinaczkowym feminizmie.

ŁUKASZ DŁUGOWSKI

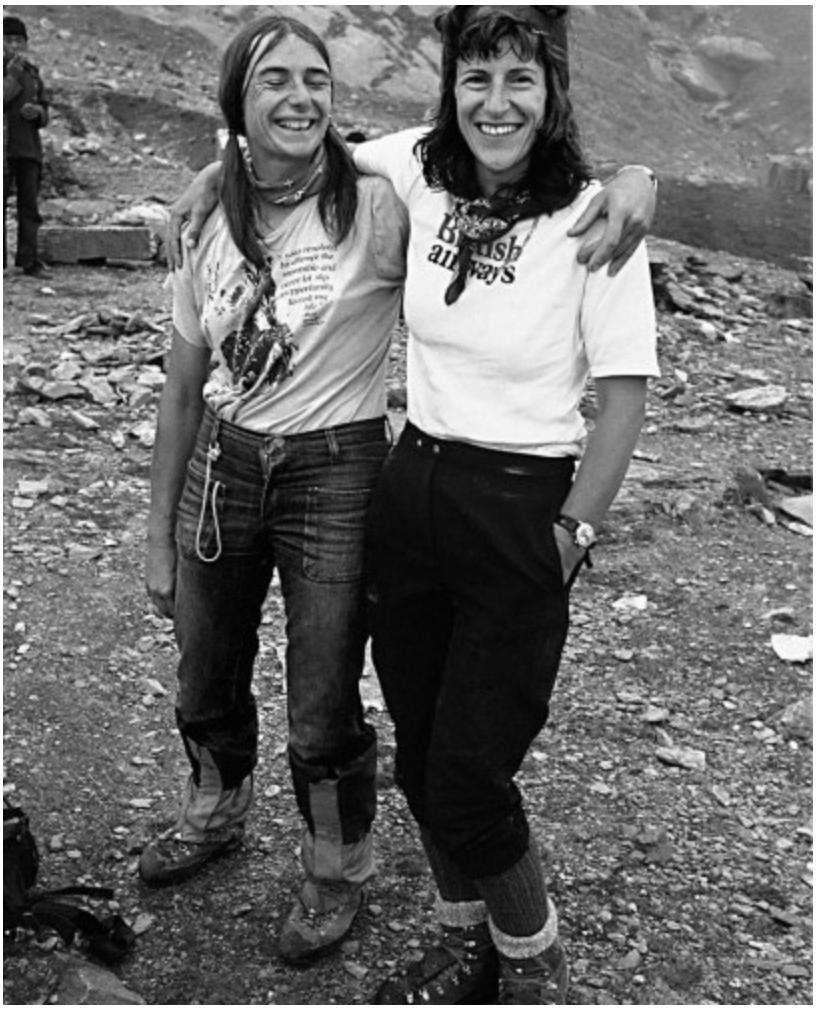

FOT. ARLENE BLUM

Rok 1978, Liz Klobusicky-Mailænder i Alison Chadwick-Onyszkiewicz w obozie kobiecej wyprawy na Annapurnę.

ANNA CZERWIŃSKA: Szczerze mówiąc, to nie chce mi się rozmawiać o kobiecym himalaizmie.

ŁUKASZ DŁUGOWSKI: Dlaczego?

– Bo odczuwam pewien przesyt tematem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu kobiece wspinanie było czymś niecodziennym, osiągnięciem. Wszystko jedno, czy była to duża wyprawa, czy jedna trudna ściana zrobiona przez kobiety. Dzisiaj nie ma już tak ważnych wydarzeń. W 2010 r. Hiszpanka Edurne Pasaban zdobyła Koronę Himalajów i

Karakorum, Kinga Baranowska kolekcjonuje swoją i poza tym niewiele słychać. Nic szczególnego w polskim kobiecym himalaizmie się nie dzieje.

Ale ja przyszedłem porozmawiać o przeszłości, pierwszym kobiecym wejściu na Annapurnę w 1978 r. Jest okazja, bo właśnie ukazuje się świetna książka kierowniczki tej wyprawy Arlene Blum.

– Według mnie nie była to wyprawa czysto kobieca. Przez cały czas pracowali dla nich Szerpowie: transportowali sprzęt, zakładali obozy i poręczówki [liny zabezpieczające wejście]. Na szczycie stanęły dwie uczestniczki i dwaj Szerpowie. Wanda Rutkiewicz uważała, że jeśli wyprawa ma być kobieca, to faceci powinni być najbliżej w sąsiedniej dolinie.

Sama brałam udział w ekspedycji podobnej do Annapurny, jeśli chodzi o skład. To było pierwsze wejście na Gaszerbrum III w 1975 r. Wyprawa miała część męską i żeńską, ale zespoły się wymieszały i na wierzchołku stanęło dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Trudno powiedzieć, że to ekspedycja czysto kobieca, ale na pewno kobieca była inicjatywa. Podobnie należałoby mówić o wyprawie Blum. Jeżeli kobiety chcą robić to same, to niech robią to same. A jeśli mają jakąś pomoc, Szerpów czy dodatkowy tlen, trzeba o tym powiedzieć.

Szerpowie umniejszają ich sukces? Jaka jest różnica między kobietami, które się nimi posiłkują, a mężczyznami, którzy regularnie robią to samo?

– Nie ma żadnej. Jednym i drugim Szerpowie bardzo pomagają. To z reguły bardzo dobrzy wspinacze. Może nie wybitni technicznie, ale są wytrzymali, doświadczeni, dobrze znają drogę. Nie twierdzę, że

ich wsparcie jest czymś złym, to normalna rzecz, ale trzeba o tym mówić. I pilnować się, żeby nie wpaść w jakiś feminizm.

Mam wrażenie, że w wyprawie na Annapurnę nie do końca chodziło o samą górę, ale o feminizm właśnie.

– Mogę powiedzieć, jak to wyglądało w naszym przypadku. W Polsce kobiece wspinanie było ideą Wandy Rutkiewicz, która sparzyła się na współpracy z mężczyznami i chyba chciała im pokazać, że sama potrafi zorganizować wyprawę, poprowadzić ją i wejść na szczyt. Poza tym Wanda zorientowała się, że Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki chętnie dofinansowuje kobiece wyprawy. Wtedy uważano je za coś wyjątkowego, przynoszącego splendor Polsce. Ale to kwestie wtórne. Nie byłoby tych wszystkich wypraw, gdyby nie znalazło się tak wiele kobiet, które chciały zaistnieć, pokazać się, porównać z mężczyznami.

Czyli jednak feminizm. Podobnie było z Annapurną. Hasło tej wyprawy to „Miejsce kobiety jest na szczycie".

– Ale co to w ogóle znaczy: na szczycie? Boże, kobieta przecież może być wszędzie! Kobiety są wolnymi ludźmi i jeżeli chcą działać z mężem, partnerem czy kolegami, to niech sobie tak działają. A jeżeli mają taką wolę, to mogą działać same. Może było jednak tak, że dziewczyny, idąc na Annapurnę, chciały, żeby kobiety podniosły głowy, wyszły z tych garów i zawalczyły z dominacją mężczyzn? W latach 70. w Polsce takiej walki się nie czuło, ale faktem jest, że kiedy mnie i Krysi Palmowskiej udało się zrobić bardzo trudną drogę w Tatrach na Małym Młynarzu, to panowie byli załamani. Padały teksty w stylu: „Po co będziemy tam chodzić, jak już baby to zrobiły?". Podobnie było, kiedy w 2000 roku jako pierwsza Polka i

drugi polski wspinacz w ogóle skompletowałam Koronę Ziemi. Paru moich kolegów mocno się zdołowało.

W 1969 r. Arlene odmówiono udziału w wyprawie do Afganistanu, choć miała lepsze osiągnięcia od niektórych męskich członków ekspedycji.

– U nas też zdarzały się przypadki, kiedy dziewczynom odmawiano uczestnictwa w wyprawach. Panował pogląd, że kobieta w zespole jest problemem, bo mogą nastąpić, nazwijmy to, towarzyskie nieporozumienia.

Znaczy, że faceci będą się o nią bić?

– Zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że bardziej akceptowalna była kobieta, która na wyprawę jedzie z mężem lub partnerem, czyli jest już do kogoś przyporządkowana. Ale to poboczny wątek. Często kobiety nie jechały, bo kierownik uważał, że są słabsze, nie dadzą rady nosić ciężkiego sprzętu, będą marudzić i trzeba będzie się nimi opiekować. A to nieprawda. Widziałam kilka naprawdę świetnych wypraw kobiecych, których uczestniczki znakomicie sobie radziły, nawet kiedy dochodziło do tragedii. Mam na myśli choćby wyprawę na K2 z 1982 roku. Wanda Rutkiewicz nie mogła się wtedy wspinać, bo miała nogę w gipsie, ale chciała kierować wyprawą, więc całą drogę do bazy przekuśtykała o kulach, pokonując trudny lodowiec. Już samo to pokazuje, jaka była zacięta. Niestety, w obozie drugim zmarła Halinka Krüger-Syrokomska. To nie był typowy wypadek górski, ale udar mózgu lub zator tętnicy płucnej. W obliczu tej tragedii zespół naprawdę się sprawdził. Patrzyłam na koleżanki, wtedy dużo mniej obyte z górami niż ja, i podziwiałam, jakie są solidarne.

Co to znaczy?

– Solidarne w nieszczęściu. Wszystkie się ogarnęły, żadna nie histeryzowała, nie płakała, że chce do domu, do dzieci. Po prostu wzięłyśmy tę tragedię na klatę. Przy pomocy męskiej wyprawy, która działała na zachodniej ścianie K2, sprowadziłyśmy ciało Halinki do podstawy góry i tam ją pochowałyśmy.

Pani też spotykała się z dyskwalifikacją: „Nie pojedziesz, bo jesteś kobietą”?

– Wiem, że środowisko śląskie nie jeździło na wyprawy z kobietami. Nie przypuszczam, żeby Jurek Kukuczka chciał mieć je na wyprawie. Był moim przyjacielem, ale mam wrażenie, że na wyprawie kazałby mi siedzieć w bazie i lepić pierogi. Takie Ślązacy mieli podejście.

A jeśli chodzi o mnie, to może ze dwa razy mi odmówiono. Raz przed wyjazdem na McKinleya, najwyższy szczyt Ameryki Północnej, a drugi już nawet nie pamiętam. Ktoś mi powiedział, że tak zdecydowali, że to jest męski wyjazd, i tyle. Bardzo niełądnie mnie i Krysię Palmowską potraktowali Niemcy. W 1980 r. pojechałyśmy na Kanczendzongę ze słynnym kierownikiem wypraw Karlem Herrligkofferem. Większość ludzi była z Bawarii i tępiono nas podwójnie: jako kobiety i jako Polki.

Jak to wyglądało?

– Herrligkoffer był w porządku, natomiast kierownik sportowy Michl Ander już nie bardzo. W pewnym momencie zarządził, że Polki śpią z Szerpami. Nie mam nic przeciwko Szerpom, ale to są tacy bałaganiarze, że człowiekowi, który ma elementarne podejście do higieny, ciężko jest wytrzymać. On zresztą bardzo dyskryminował samych Szerpów, raz nawet powiedział pani doktor, że nie wolno im dawać antybiotyków, bo mamy ich mało. I

z nami, i z Szerpami obchodził się jak z podludźmi. Myślę, że gdybyśmy były lepiej traktowane, byłybyśmy w stanie wejść na szczyt. W końcu rok wcześniej zdobyłyśmy Rakaposhi, siedmiotysięcznik w Karakorum, pomimo że kierownik Wiesio Kowalewski też nas nie lubił i traktował z dystansem. Ale cała wyprawa była świetna, weszłyśmy samodzielnie jako zespół babski, bardzo duży sukces.

A co się stało po powrocie? Na wierzchołek weszła siódemka Polaków i jeden Pakistańczyk, z grupy komandosów, która wspinała się z nami. Pan generał wezwał ich wszystkich na dywanik: „To jak, te baby, te Polki, weszły, a wy, komandosi, co?!". Koledzy mi to później opowiadali. Oni zresztą też byli trochę zazdrośni.

O co?

– O to, że baby ukradły im sukces, bo wszystkie media skupiły się na naszym kobiecym wejściu. Na górze pracowaliśmy wspólnie. Tadzio Piotrowski był najsilniejszym wspinaczem, najwięcej się nanosił, najwięcej poręczówek założył. W ogóle chłopcy narobili się więcej, a tu sława spadła na nas. I z takich głupich rzeczy rodziła się niechęć facetów do koedukacyjnych wypraw.

W końcu zaczęłyście jeździć same. I przecierałyście szlaki w Himalajach innym kobietom.

– Ja i koleżanki, czyli Krysia Palmowska, Ania Okopińska i Halinka Krüger, odważyłyśmy się na samodzielność dzięki Wandzie. Nie byłyśmy ciepłymi kluchami, ale jednak rezygnacja z męskiej opieki wymagała odwagi. A Wanda swoją postawą nam tę odwagę dawała. Miałyśmy pasmo sukcesów: na Gaszerbrum II jako pierwsze kobiety weszły Ania Okopińska z Halinką Krüger (1975 r.), na dziewiczy Gaszerbrum III wejście było mieszane, ale w zespole

były dwie kobiety (1975 r.). Były jeszcze kobiece wejścia na Rakaposhi (1979 r.), Broad Peak (1983 r.) i Nanga Parbat (1985 r.). Dwie ostatnie były praktycznie wyprawami czysto kobiecymi.

Ukoronowaniem moich sukcesów jako himalaistki był udział w męskiej wyprawie na K2 w 1986 r. Mieliśmy wejść najtrudniejszą drogą, tzw. Magic Line. Sam fakt, że tak doskonały zespół – a pojechali tam Janusz Majer, Wojtek Wróż, Przemek Piasecki i Peter Bozik – zaakceptował mnie i Krysię Palmowską, był dowodem, że jesteśmy postrzegane jako elita. Szczytu co prawda nie zdobyłyśmy, ale z Januszem i Krysią doszliśmy do 8200 m. Naprawdę jestem dumna, że potrafiłam działać na tej górze nie gorzej od mężczyzn. Chociaż to świadczy też o tym, że czuję się wobec nich słabsza.

Zawsze równała pani do mężczyzn?

– Tak, bo zdawałam sobie sprawę ze swoich ograniczeń.

Jakich?

– Słabości fizycznej. Jak ja się mogę z panem, facetem metr dziewięćdziesiąt, porównywać? Może jakbyśmy stali na ośmiu tysiącach, to moglibyśmy sobie podyskutować, ale w niższych partiach nie mam szans. Więc trzeba mieć świadomość, że musimy być w czymś lepsze. Albo technicznie, albo mądrzejsze, albo mieć lepszą tolerancję wysokości. To często wyrównuje nasze szanse.

Co było pani mocną stroną?

– Dobra tolerancja wysokości i przeżywalność. Miałam tak jak Jurek Kukuczka: potrafiłam przeżyć w niewiarygodnych sytuacjach. I byłam bardzo odporna psychicznie. Przetrwałam sezon na K2 w 1986 r., kiedy zginęło tam 13 osób, a potem jeszcze miałam siły

wracać w góry. Dla niektórych ludzi jakakolwiek śmierć, niekoniecznie w górach, jest traumą na lata. Ja potrafiłam sobie z tym poradzić.

W 1978 r. na Annapurnę wspinała się Alison Chadwick-Onyszkiewicz, druga żona Janusza Onyszkiewicza. Znała ją pani?

– Pamiętam ją z wyprawy na Gaszerbrumy w 1975 r. Była cichutka, spokojna. Niewiele mówiąca Angielka, dobrze wychowana, nie przeklinała. Ale miała ambicję i sportowe podejście do wspinania. Raczej nie była orłem technicznym, ale miała motywację, żeby robić coś nowego. Bardzo wspierała Wandę w tym, żeby nie atakować Gaszerbrumu II, ale dziewiczy wtedy Gaszerbrum III, najwyższy niezdobyty szczyt Ziemi.

Ostatecznie zresztą obie, razem z dwoma panami, na niego weszły.

Podczas całej wyprawy na Annapurnę Alison nalegała, żeby pozbyć się Szerpów, aby wejście było czysto kobiece. W trakcie ataku szczytowego wraz z Verą Watson próbowała zdobyć dziewiczy wierzchołek wschodni. Obie zginęły.

– Bardzo ambitni ludzie nie zawsze dobrze kończą. Ja też potrafiłam niepotrzebnie zaryzykować. W 2000 r. miałam tylko sto metrów do szczytu Everestu i nie zawróciłam, choć kończył mi się tlen.

Mam wrażenie, że to w ogóle leży w kobiecej naturze, ta chęć udowodnienia, że jest się lepszym, niż ludzie myślą.

Kobiety bardziej ryzykują?

– Myślę, że to cecha ogólnoludzka. Jeden jest gotów zapłacić za sukces odmrożonym palcem, drugi życiem. Ale na pewno kobiety będą czasami bardziej ryzykować, bo są postrzegane jako gorsze.

Magazyn „Fortune” zaliczył „Annapurnę. Górę kobiet” do „75 najmądrzejszych książek biznesowych”. Zdecydowała o tym opisana w niej rola liderki Arlene Blum. Jak wyglądały pani doświadczenia z liderami?

– Na wyprawach Wandy zawsze były konflikty. Była znana z tego, że potrafiła skłócić cały zespół. Mam wrażenie, że ona potrafiła mniej liderować, a bardziej wnosić ferment. A poza tym była bardzo nastawiona na swój sukces. Nie chciała być kierowniczką tylko po to, żeby wyprawa odniosła sukces, przede wszystkim chciała sama wejść na szczyt.

Co najlepiej sprawdza się w kierowaniu zespołem?

– Zawsze uważałam, że akcja górska musi być akceptowana przez wszystkich uczestników. Ale to możliwe, jeżeli jadą cztery osoby. Gdy jest ich 20, tak jak na wielkich PRL-owskich ekspedycjach, na jednomyślność nie ma szans. A jeśli postawimy na demokrację, wkradnie się chaos: nie będzie komu dostarczać jedzenia i paliwa, rozbijać namiotów, rozpinać poręczówek. Wtedy jest konieczne zarządzanie na zasadzie poleceń: ty idziesz tu, ty tam, a ty gotujesz obiad. Natomiast ja tak nie potrafię, chciałabym, żeby wszystko było uzgadniane. Żeby to, co robimy, wynikało z ogólnej akceptacji, a nie z mojego rozkazu. Podczas wypraw nauczyłam się, że nie potrafię być kierownikiem. Mogę coś zaproponować, wysłuchać, zgodzić się lub nie, ale nie potrafię narzucić swojej woli.

Kto to potrafił?

– Twórca idei himalaizmu zimowego Andrzej Zawada, który kierował wieloma dużymi wyprawami w Himalaje. Ale on w przeciwieństwie do Wandy nigdy nie szedł w pierwszej linii. Zawsze skupiał się na zarządzaniu wyprawą, i to chyba była jego

największa zaleta: potrafił ludzi tak ukierunkować, że odnosili sukces. Dla niego to było wspólne osiągnięcie: tych, którzy stanęli na szczycie, tych, którzy zakładali poręczówki i obozy, ale także jego jako kierownika.

Jak udawało mu się zarządzać 20 silnymi indywidualistami?

– Zespół na ogół był zafascynowany Andrzejem, którego otaczała aura przywódcy. Ludzie w naturalny sposób akceptowali go w tej roli. Przykro mi bardzo, ale Wandzie tego brakowało.

Ja zresztą nigdy nie byłam na wyprawie z Andrzejem, bo był seksistą i nie zabierał kobiet. A nie, przepraszam! Raz zimą na Lhotse zabrał Anię Okopińską. Coś tam się musiało wydarzyć, bo potem już z nim nie jeździła. Chodzą różne ploty, na przykład taka, że chodziła szybciej niż chłopcy. Ania rzeczywiście była świetna kondycyjnie i mogło tak być, że panowie mieli do niej pretensje.

A więc nie uciekniemy od feminizmu. Czy himalaizm kobiecy miał wpływ na życie przeciętnej Polki czy Amerykanki?

– Amerykanki może i tak, ale Polki nie za bardzo. Trudno mi sobie wyobrazić, że jakaś kobieta odeszła od garów, bo zdobyłyśmy Rakaposhi.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Schodząc, zobaczyliśmy siedzące ciało

Na szczycie zostawili czterocentymetrowy krzyżyk, ale Radio Wolna Europa podało, że czterometrowy

krzyż. Edward Gierek nie podał im za to ręki.

DARIUSZ KORTKO, MARCIN PIETRASZEWSKI

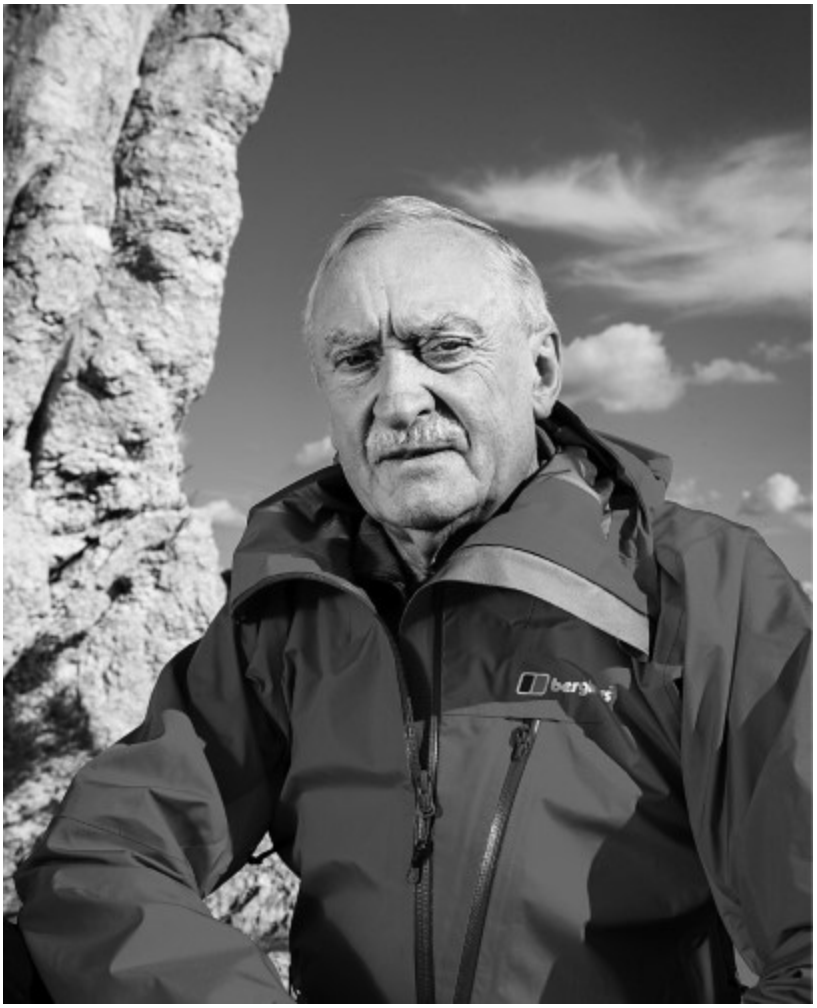

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA GAZETA

Himalaista Krzysztof Wielicki, piąty człowiek na Ziemi, który zdobył Koronę Himalajów i Karakorum.

Teraz albo nigdy

– Szczęście miałem – mówi Krzysztof Wielicki. – Lata osiemdziesiąte to była złota era polskiego himalaizmu. Dobre czasy.

My, himalaiści, zawarliśmy z władzą rodzaj układu. Naszymi marzeniami będziemy zapisywać historię Polski. Przystali na to, cena

nie była wysoka. Dali nam paszporty, wypuszczali w świat – to było aż nadto. Odpłacaliśmy uczciwie. Chętnie składaliśmy osobistą chwałę na ołtarzu wspólnego wysiłku. Liczyła się drużyna. Nikt nie mówił, że Wielicki i Cichy po raz pierwszy zdobyli Everest zimą. Wszyscy powtarzali, że zrobili to Polacy. Szczyt za szczytem, kolejne polskie sukcesy – to była nasza waluta.

Teraz albo nigdy. Oficer łącznikowy, mister Sharma, przypomina Andrzejowi Zawadzie, kierownikowi polskiej zimowej wyprawy na Mount Everest: – Jutro ostatni dzień zezwolenia.

Do góry idą tylko Leszek Cichy z Warszawy i Krzysztof Wielicki z Tychów. Bardziej doświadczony jest Cichy, wspina się już od dziesięciu lat. W 1975 roku wszedł częściowo nową drogą na Gaszerbrum II, ma więc na koncie ośmiotysięcznik. Ale nie zimą.

Rekord wysokości Wielickiego to Pik Komunizma w Pamirze, 7495 metrów. Rok wcześniej wszedł nową drogą na szczyt Annapurny Południowej, ale to tylko 7219 metrów. Też latem. Na ośmiu tysiącach nigdy nie był.

15 lutego 1980 roku pozwolenie się kończy, a Cichy z Wielickim siedzą w trzecim obozie. Szczyt jest o 1698 metrów wyżej – daleko. Iść, nie iść?

Andrzej Wawrzyniak, polski ambasador w Nepalu, przekazuje przez radio wiadomość do bazy pod Everestem: władze zgodziły się przedłużyć o dwa dni pozwolenie na zdobycie szczytu. Mister Sharma chwali się w bazie: – To moja zasługa!

Zdążą? Warto spróbować. Albo teraz, albo koniec marzeń. Wielicki: – Czuliśmy się jak kamikadze, jak niewolnicy misji gotowi do jej

wypełnienia.

Numer do prostytutki

16 lutego, sobota. Budzą się wcześnie rano. Nie muszą się naradzać, wiadomo, że pójdą. Nastroje dobre, samopoczucie wyśmienite. Konieczne rytuały: gotowanie kawy, gorącej herbaty do termosu, mocowanie raków. Czują się mocni.

– Zaplanowaliśmy z Krzysiem Wielickim, że zabierzemy tylko po jednej butli z tlenem. Lżej i szybciej – tłumaczy Leszek Cichy. – Nawet jedna butla sporo ważyła, około siedmiu kilogramów. Do tego reduktor, maska, radio Klimek z baterią, dodatkowe dwa i pół kilograma. Było co nosić. Mieliśmy więc każdy po butli czterolitrowej, po 200 atmosfer. Policzyliśmy: ponad 800 litrów tlenu na głowę. Jeśli będziemy zużywać dwa litry na minutę, wystarczy nam na 400 minut, czyli około siedmiu godzin. Dość, by wejść na szczyt. A potem? Schodzić jak najszybciej.

Do Przełęczy Południowej docierają w cztery godziny, choć zwykle idzie się sześć. Nie czują zmęczenia. Na przełęczy rozbijają namiot. Uczta na wysokościach: liofilizowany kotlet cielęcy, pasztet, chrupki chleb.

Potem połączenie przez radio z bazą. Prognozy są pomyślne: słaby wiatr, zachmurzenie umiarkowane, ale w namiocie temperatura wynosi minus czterdzieści dwa stopnie. Wielicki: – Na noc przygotowaliśmy sobie tlen, ale nie mogłem przyzwyczaić się do spania w masce. Tlen się skrapla, kapie na nos i usta, maska uwiera, wymusza pozycję na plecach.

Czwarta rano. Znów gotowanie wody, herbata do termosów, śniadanie, meldunek do bazy: pogoda w normie, czują się dobrze, o siódmej rano wyjdą z obozu. To najlepszy moment, bo słońce zaczyna się wznosić. Gdy zaświeci nad przełęczą, będzie co najmniej o stopień cieplej.

Wychodzą z namiotu o 6.45, na zewnątrz minus czterdzieści dwa stopnie. Pierwszy odcinek jest łatwy, śnieżny kuluar osłania wspinaczy od wiatru. Co godzinę wchodzą średnio o 180 metrów wyżej. Świetne tempo, ale pogoda się zmienia, zaczyna kurzyć. Wiatr porywa sypki śnieg i dmucha nim w twarze. Pod stopami lodowisko. Wchodzą na grań, a tam też kiepsko, śnieg wywiało, trzeba iść w rakach po gołej skale. Za chwilę pole kopnego śniegu. – Czas dłużył się niemiłosiernie. Straciłem już nadzieję, że to nużące podejście skończy się kiedykolwiek – powie potem Cichy.

Do szczytu już niedaleko, ale to najtrudniejszy odcinek. Nie można iść granią, bo śnieżne nawisy są niestabilne, można spaść razem z nimi. Nieco bezpieczniej jest pod samą granią, ale wiatr się wzmaga. Ryzykują, nie asekurują się liną, nie zakładają stanowisk. Nie ma czasu. Nim zapadnie zmierzch, muszą wejść na wierzchołek i zejść do obozu na Przełęczy Południowej.

Na Uskoku Hillary'ego – skale o wysokości ośmiu metrów broniącej dostępu do szczytu – wiszą stare poręczówki. Latem skała jest łatwa do przejścia, ale zimą oblepia ją gruba warstwa śniegu. Jeden nieostrożny ruch i można odpaść razem z bryłą śniegu. Szybka decyzja: nie będą odrąbywać śniegu od skały, wygląda na dobrze utwardzony, zaryzykują. Szczęście im sprzyja, wdrapują się bez problemów. Widać wierzchołek? Jeszcze nie.

– Porywisty, lodowaty wiatr smagał nas po twarzach. Odwracaliśmy głowy i szliśmy twarzami zwróconymi do stoku – wspomina Cichy. – Co chwila wydawało się, że szczyt jest tuż-tuż, że najwyżej kilka kroków dzieli nas od końca wspinaczki. A potem wchodziłem na któryś z kolejnych wierzchołków i widziałem następny, następny, następny. Dokładnie o godzinie 14.25 stanąłem na tym prawdziwym, najwyższym, najważniejszym wierzchołku. Chwilę potem Krzysiek był już przy mnie. Powinienem przeżywać największą euforię swojego życia, czuć, jak rosną mi skrzydła, albo mieć jakieś mistyczne omamy. Nic z tych rzeczy, po prostu stałem i ciężko dyszałem.

Zawada przy radiu, przekrzykuje wiatr: – Halo dwójka, halo dwójka. Słyszycie? Gdzie jesteście? Odbiór! Nie słyszę!

Wielicki: – Na szczycie jesteśmy! Na szczycie zimą! Wasza zasługa.

– Hurra, hurra! – krzyczy Zawada. – Są na szczycie. Hurra, całujemy! Hurra, rekord świata!

Wielicki: – To dzięki wam, dzięki wszystkim w bazie, w Katmandu, w kraju, mogliśmy wejść. Sukces jest wspólny!

Zawada jest podejrzliwy, chce mieć pewność, że chłopaki są na Everešcie: – A jest tam triangul?

Oczywiście, że jest. Konstrukcję ze stalowych rurek wznieśli Chińczycy w 1974 roku. W jednej z rurek tkwi karteczka, wiadomość od poprzedniego zdobywcy szczytu Raya Geneta: „Jeśli chcesz się dobrze zabawić, zadzwoń do Pat Rucker w Anchorage na Alasce, pod numer 274-2602". Podczas prelekcji na Alasce Cichy odczyta treść kartki, ludzie będą się śmiali, bo Genet podał numer do prostytutki.

Ale teraz wszyscy są ciekawi, jak jest na szczycie. – Zimno, wieje jak cholera, strasznie ciężko. Gdyby to nie był Everest, chybabyśmy nie weszli – mówi Cichy.

– Trudny odcinek między południowym wierzchołkiem a szczytem robiliśmy półtorej godziny – relacjonuje Wielicki.

– Straszne nawisy – dodaje Cichy. – Bardzo boimy się zejścia. Będziemy uważać, ale mamy, mamy Everest zimą!

Czterometrowy krzyż

Zawada szaleje z radości, łączy się z Warszawą. Hannie Wiktorowskiej, sekretarce w Polskim Związku Alpinizmu, każe powiadomić wszystkich o niesamowitym wyczynie. – Wszystkich, czyli kogo? – dopytuje Wiktorowska. – No wszystkich, od papieża po pierwszego sekretarza! – emocjonuje się Zawada.

Wiktorowska skrupulatnie wypełnia polecenie. Najpierw wysyła telegram do Jana Pawła II, potem do Edwarda Gierka, pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jeszcze nie wie, jaki będzie z tego kłopot.

Kolejny zgrzyt. Informacja idzie w świat, a radiooperator Bogdan Jankowski nie może się połączyć z ministerstwem turystyki w Katmandu. W Nepalu ze względu na hinduistyczne święta urzędy nie pracują. Nepalczycy bardzo pilnują, żeby informacje o sukcesach himalajskich wypraw wychodziły od nich.

Andrzej Wawrzyniak próbuje ratować sytuację – dzwoni do jednego z urzędników w ministerstwie, ale to nieoficjalna rozmowa. O sukcesie Polaków informują już światowe agencje, Nepalczycy są więc śmiertelnie obrażeni.

Wolna Europa podaje, że Polacy na szczycie ustawili krzyż czterometrowej wysokości. W Polsce euforia, nikt nie dementuje tej absurdalnej informacji.

– Najpierw wyciągnęliśmy flagi polską i nepalską. Próbowałem zrobić zdjęcie Leszkowi, który trzymał je w dłoniach, ale migawka w enerdowskim aparacie Certo zamarzła i ocalała tylko jedna klatka – opowiada Wielicki. – Na triangulu zawiesiliśmy różaniec poświęcony przez polskiego papieża i czterocentymetrowy krzyżyk od matki operatora filmowego Stanisława Latałły, który zginął sześć lat wcześniej na stokach sąsiedniej Lhotse. Do schowka włożyliśmy kartkę z napisem „Polish Winter Expedition". Leszek pozbierał ze szczytu kilka kamieni, a ja włożyłem do plastikowych torebek kilka garści śniegu, prosili o to naukowcy.

Pięć po piętnastej zaczynają schodzić. Najpierw idzie łatwo, kłopoty czekają przy Uskoku Hillary'ego. Cichy myśli o asekuracji liną, ale Wielicki się spieszy. Szkoda mu czasu, pierwszy wchodzi tyłem na oblepioną śniegiem skałę. Wbija stylisko czekana w śnieg, sprawdza, czy jest stabilne, chwyta obiema rękami głowicę i szuka stopami kolejnego miejsca podparcia. Przy każdym uderzeniu butem w stok stopy bolą go coraz bardziej. Jest niemal pionowo, więc maska tlenowa zsuwa się mu z twarzy, brakuje tchu. Zaczyna wiać, wskaźniki w butlach z tlenem pokazują zero. Wspinacze mogą teraz wyrzucić butle, ale najpierw muszą odkręcić reduktory. Trzeba je szanować, w Polsce są trudno dostępne.

Na wierzchołku południowym mają się połączyć z bazą, ale wolą iść dalej. Czas! Trzeba liczyć każdą minutę w strefie śmierci.

– Nagle straciłem wzrok – mówi Wielicki. – Widziałem tylko białe plamy, żadnych kształtów, proporcji i barw. Przede mną biała,

nieprzenikniona ściana. Utraciłem poczucie kierunku. Stałem bezradny na stoku i bałem się ruszyć. Założyłem okulary przeciwsłoneczne, które zdjąłem przy podejściu, bo wciąż zachodziły mgłą. Czekałem, aż oczy odpoczną.

Trwa wyścig ze słońcem, które na Evereście w połowie lutego zachodzi kilka minut przed osiemnastą. Cichy: – Kiedy skręcaliśmy z grani na stok, robiło się już szarawo. W odległości około pięćdziesięciu metrów zobaczyliśmy siedzącą na śniegu sylwetkę. Hannelore Schmatz.

Dobrze znali jej historię. Hannelore zaginęła na Evereście rok wcześniej. Razem z Amerykaninem Rayem Genetem i dwoma Szerpami schodzili ze szczytu. Też skończył im się tlen – to tak, jakby kogoś przenieść nagle z wysokości sześciu tysięcy na osiem tysięcy metrów. Tylko najsilniejsi mają szansę przetrwać taki szok. Mózg żąda tlenu, ale co, jeśli go nie dostanie? Genet dostał ataku szału, wyrzucił plecak, chciał się rozbierać, przytrzymał go Ang, jeden z Szerpów. Błagał, by jak najszybciej schodzić, ale Genet nie słuchał. Zaczął kopać w śniegu jamę, zamierzał w niej zostać na noc.

Szerpa prosił Hannelore, żeby się ratowała i zeszła z nim niżej, ale Niemka nie miała sił. Postanowiła zostać z Genetem. Ang zszedł do obozu po pomoc samotnie, z dwójką himalaistów zostawił dwudziestoletniego Szerpę Sundarego.

Genet umarł w nocy. Hannelore rano próbowała zejść z Sundarem, ale po stu metrach usiadła i powiedziała cichutko: „Dajcie mi pić, bo umieram". Już nie wstała.

Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy ściągają jej z szyi aparat fotograficzny i łańcuszek. Odeślą to potem mężowi Hannelore.

– Czy was to nie przestraszyło? Co myśleliście w tym momencie? – zapytają ich dziennikarze.

– Nic nie myśleliśmy – odpowie Wielicki. – Wyczerpany człowiek, który walczy o przetrwanie, traci wszelką skłonność do filozofowania. Bierze rzeczy takie, jakimi są. Słucha tylko własnego organizmu, myśli jedynie o tym, czy są jeszcze siły, by walczyć. Człowiek zamyka się w sobie, nie ma najbliższych, nie ma kolegów w bazie, nie ma nikogo na świecie. Jest się skupionym wyłącznie na tym, gdzie postawić stopę i co się ma przed sobą. Nie wolno myśleć o tym, co się może złego zdarzyć, jakie przeciwności trzeba jeszcze pokonać. Nie wolno panikować. Panika to wyrok śmierci. Powtarzałem sobie: będziesz szedł, nie wiem, jak długo, ale w końcu dojdziesz.

– A refleksje, rozmyślania, uogólnienia? – dopytują dziennikarze.

– Przychodzą później, w domu. Nie tam, na stoku.

Tam Wielicki myśli o stopach. – Na stromym stoku spoczywa na nich cały ciężar ciała. Były odmrożone, czułem, że palce stóp krwawią. Próbowałem iść bokiem, ale wtedy łatwo się potknąć. Upadek kosztowałby życie, nie miałbym sił utrzymać się na stromiźnie. A więc tylko przodem, co kilka kroków odpoczynek, żeby choć trochę uśmierzyć potworny, otępiający ból palców.

I znowu oczy! Wszystko się rozmywa, zamiast ciemności Wielicki widzi biel. – Czułem, że tracę szansę dotarcia do namiotu na Przełęczy Południowej. Jeśli tego dnia zobaczyłem śmierć, to nie miała twarzy Hannelore Schmatz. Była białą, nieprzeniknioną pustynią – wspomina.

Zwątpienie trwa pół minuty, może pięć. Ważne, że Wielicki zaczyna widzieć czerwoną plamę. Rękawice! Wzrok powoli wraca. – Byłem wyczerpany, ale to nieważne – mówi dzisiaj. – W takich momentach człowieka nie niesie już siła mięśni, ale wola przetrwania. Potężna siła, która wprowadza w trans. Nie myśli się już o tym, jaki ruch wykonać, dzieje się to poza świadomością, niemal automatycznie. Oszczędza się mnóstwo energii, którą pochłania myślenie.

Krok po kroku, centymetr po centymetrze, kuluar, serak, stromizna. Usiąść na tyłku, zaprzeć się rakami i zsuwać się powoli. Nie wiadomo, jak długo, ale każdy ruch zbliża do namiotu. Jest! Ile kroków? Dziesięć? Pięć?

Cichy dociera tam pierwszy. – Potykam się, leżę, nie mam tchu. Podnoszę się, kilka kroków, znów leżę – wspomina. – Idę jak pijany, ale już wiem, że dojdę.

W namiocie uspokaja oddech, zdejmuje raki, zamyka wejście, rozpala maszynkę, zakopuje się w śpiworze. Wielicki był niedaleko, szedł za nim, zaraz powinien być w namiocie.

Kilka łyków podgrzanej na maszynce herbaty przywraca Cichemu życie. Butla z resztką tlenu, już jest dobrze...

A Wielicki? W pamiętniku napisze: „Widziałem kontury Przełęczy Południowej, ale gdzie namiot? Iść w prawo czy w lewo? Namiot powinien stać na zboczu, które lekko opada w stronę kotła. A więc tam. Jest! Oświetlony od wewnątrz. Najpiękniejszy widok".

W namiocie Wielicki zdejmuje buty, siedzi z kolanami pod brodą, stopy trzyma nad maszynką. Straszny widok. Na sinych palcach popękana skóra, z ran sączy się krew. Po dwóch godzinach znów

zaczyna je czuć. Stopy puchną w oczach, ale to dobry znak – organizm walczy. Może obejdzie się bez amputacji.

– Widziałem w bazie te jego odmrożone paluchy – wspomina uczestnik tamtej wyprawy Maciej Pawlikowski. – Skóra popękana, żywe mięso i krew. Wyglądało to dramatycznie. Koledzy fotografowali je na pamiątkę, a doktor Robert Janik, lekarz wyprawy, pracował nad nimi, czyścił rany, zmieniał opatrunki.

Ale to potem.

Talon na fiata 126p

Piąta trzydzieści rano, Wielicki i Cichy siedzą w namiocie. Trzeba schodzić do bazy, uciekać jak najszybciej. Gotowanie wody, zakładanie butów i raków.

– Oszczędzajcie siły, zostawcie namiot – radzą koledzy w bazie.

Zostawić namiot za trzysta pięćdziesiąt dolarów?! W Polsce takich nie ma. Trzeba go spakować do plecaka. Poniesie silniejszy.

Kiedy wracają na Okęcie 7 marca 1980 roku, w hali przylotów czekają na nich tłumy ludzi.

Wieczorem jadą na spotkanie w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Sportu. Sportowców, którzy odnoszą sukcesy, zwykle przyjmuje Edward Gierek, pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tym razem nie ma o tym mowy, bo wciąż krąży plotka, że Cichy z Wielickim wnieśli na szczyt krzyż.

Polska plotkuje, że zdobywcy Everestu dostali po samochodzie. Cichy: – Nieprawda, to był tylko talon na fiata 126p, za samo autko musiałem zapłacić.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Kukuczka: Od śmierci w dolinach zachowaj nas, Panie

To słowa modlitwy, którą często powtarzał. W 1989 r. odpadł od południowej ściany Lhotse. Mimo że dwa lata wcześniej zdobył swój 14. ośmiotysięcznik, nie przestał szukać wyzwań w najwyższych górach świata. – To byłoby zaprzeczenie wszystkiego, co robiłem do tej pory – tłumaczył.

DOMINIK SZCZEPAŃSKI

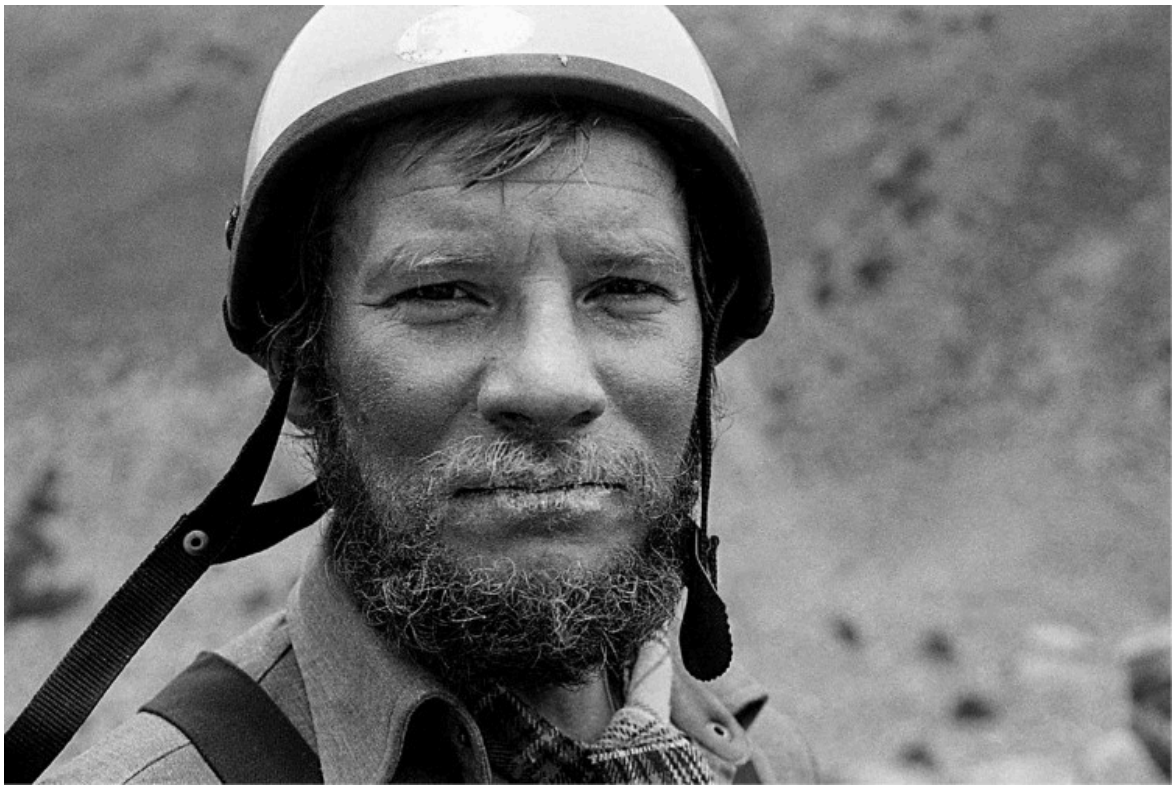

FOT. TADEUSZ PIOTROWSKI

Himalaista Jerzy Kukuczka jako drugi człowiek na Ziemi zdobył Koronę Himalajów i Karakorum.

Kukuczka jako drugi człowiek w historii zdobył 14 ośmiotysięczników, czyli Koronę Himalajów i Karakorum. Na 11 wszedł nowymi drogami, siedem zdobył w stylu alpejskim, trzy po raz pierwszy zimą, jeden szczyt samotnie. Zajęło mu to 7 lat, 11 miesięcy i 14 dni. Za swoje osiągnięcia otrzymał srebrny order olimpijski.

Zginął 24 października 1989 roku podczas wspinaczki na niepokonanej wtedy południowej ścianie Lhotse.

Rozsądek mówi: daj sobie spokój

W 1964 kolega namówił 16-letniego Jerzego Kukuczkę na wyjazd w skałki. Kukuczce tak się spodobało, że rok później zapisał się do

Harcerskiego Klubu Taternickiego w Katowicach. W 1966 roku był już po kursie taternickim.

– Program zakładał, że kursanci sami mają wynajdywać drogę. Stanęli pod skałką, którą łatwo było obejść po trawie, ale oni uznali, że droga prowadzi inaczej. Zaczęli szturmować, nikt nie mógł wydrzeć.

Dopiero Jurek Kukuczka wydarł na rękach, był niesamowicie silny – opowiadał Janusz Kurczab, znawca górskiego świata, kierownik wypraw w Himalaje, który uczył Kukuczkę wspinaczki.

Po kursie przyszedł czas na pierwsze wspinaczki w polskich górach. Od samego początku Kukuczka był niezwykle ambitny. Nie chciał iść śladami innych. Szukał nowych dróg wspinaczkowych albo innych sposobów, by zapisać się w historii zdobywanego szczytu.

W 1971 roku wraz z Piotrem Skorupą, swoim pierwszym prawdziwym górskim partnerem, postanowił zrobić pierwsze zimowe przejście direttissimy (drogi wspinaczkowej poprowadzonej możliwie blisko linii spadku wierzchołka) Kazalnicy Mięguszowickiej. Podczas wspinaczki Skorupa zginął. Pierwsza górska tragedia wstrząsnęła Kukuczką, który zaczął się zastanawiać nad sensem wspinaczki.

*„Dramatyczna rozterka, bo góry ciągną, ale rozsądek mówi: daj sobie spokój...”** – pisał w książce „Mój pionowy świat”.

Smrodek

Mimo wątpliwości wrócił w góry. W 1974 roku był członkiem ekspedycji, która pojechała na najwyższy szczyt Ameryki Północnej McKinleya (dziś Denali). Łatwo nie było. Kukuczka aklimatyzował

się dużo wolniej od swoich partnerów. Choroba wysokościowa zaatakowała go już na wysokości 4500 m n.p.m. Mimo osłabienia postanowił atakować.

– Wszyscy mnie przegonili, bo byli w lepszej kondycji. Resztkami sił, z czarnymi plamami przed oczami doszedłem do szczytu. Grupa zaczynała już wtedy schodzić – opisywał Kukuczka.

Wygramolił się siłą woli. W dodatku odmroził palce i po powrocie do kraju pojechał do szpitala. To wolne tempo wspinaczki sprawiło, że wypadł z obiegu. Ciągnął się za nim „smrodek" z McKinleya. Koledzy nie widzieli w nim materiału na wielkiego wspinacza. Jak to możliwe, że jeden z najtwardszych organizmów, jakie kiedykolwiek weszły w góry wysokie, początkowo nie zdradzał swoich cech? Odpowiedzi nigdy nie poznamy.

Po powrocie z McKinleya Kukuczka ożenił się z Celiną. Pewny i opanowany na wysokościach bardzo denerwował się podczas pierwszych spotkań z przyszłą żoną.

– Przyszedł na oświadczyny ze swoją matką. Był bardzo zdenerwowany i stremowany. Z tego wszystkiego kwiaty, które przyniósł dla mnie, wręczył mojej siostrze – wspomina Celina Kukuczka.

Kukuczka odpokutował swoje i w 1977 roku dostał powołanie na wyprawę na Nanga Parbat. Wraz z partnerami zawrócili przed szczytem. Zaczęła się jego trwająca 12 lat droga po najwyższe cele.

„Tkwi we mnie coś takiego, co sprawia, że nie interesuje mnie gra o małe stawki. Dla mnie liczy się jedynie naj. Tylko to mnie bierze naprawdę" – pisał.

Z kominów w Himalaje

Na każdy z 14 ośmiotysięczników chciał wejść w wyjątkowy sposób. Zaczęło się w 1979 roku od Lhotse. Nie udało mu się poprowadzić nowej drogi, więc zdecydował się wejść na wierzchołek bez tlenu. Wcześniej na ośmiotysięcznik w taki sposób wszedł tylko Reinhold Messner. Media szybko zresztą wyłapały, że Kukuczka ośmiotysięczniki zdobywa w ekspresowym tempie i imponującym stylu. Kiedy zdobył Lhotse, Reinhold Messner miał już na swoim koncie sześć ośmiotysięczników.

Za Włochem stały sława i pieniądze. A Kukuczka, żeby zebrać pieniądze na kolejne wyprawy, musiał kombinować. Robił to, co umiał najlepiej – czyli działał na wysokościach. Jak wielu polskich alpinistów malował kominy. Wyprawa na Lhotse kosztowała w 1979 roku milion złotych, czyli 200 średnich miesięcznych pensji. Czasami wystarczał jeden komin, kiedy indziej trzeba było pomalować pięć, ale zawsze się udawało. Wspinaczy wspierało też państwo.

Kukuczka w Himalajach spędzał coraz więcej czasu. Wiosną 1980 roku południowym filarem zdobył z Andrzejem Czokiem Mount Everest. Wspinali się nielegalnie, bo nepalskie ministerstwo turystyki postanowiło ukarać polskich wspinaczy za brak informacji o pierwszym zimowym wejściu na Mount Everest, którego kilka miesięcy wcześniej dokonali Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy. Polacy oczywiście próbowali poinformować Nepalczyków, ale trafili na ich święto narodowe i nikt nie podniósł słuchawki. Świat dowiedział się o sukcesie z innego źródła, czego Nepalczycy nie mogli przeboleć. Kiedy kierownik wyprawy Andrzej Zawada przyniósł w końcu zgodę, Kukuczka z kolegami byli w drodze do

obozu III. Po wyczerpującej i ryzykownej wspinaczce weszli na szczyt.

„Wszystko, co człowiek robi na najwyższej górze, jest (...) potwornie prozaiczne, rzeczowe, kosztuje ogromnie dużo wysiłku. A przez wszystko to wyprane z jakiejkolwiek euforii myślenie: Everest jak Everest. Taka sama góra, taki sam śnieżny nawis jak na innych...".

Dream team

W 1981 zdobył samotnie nową drogą Makalu. W 1984 roku wszystkie trzy wierzchołki Broad Peaku, pięknym trawersem z Wojciechem Kurtyką.

– Nie wiem, czy istniały jakieś rzeczy, które nas łączyły. Można powiedzieć, że wszystko nas dzieliło.

Dla mnie góry były fascynacją estetyczną. Dla Jurka było to wyzwanie innego rodzaju, żadnego nawiedzenia mistycznego. To było wielkie zadanie, które sobie dawał.

Wnosił to, co było w nim najwartościowsze. Ogromną wytrwałość i dążenie do dojścia do celu – wspomina go Kurtyka.

Razem stworzyli jeden z najmocniejszych zespołów w historii. W 1983 w ciągu miesiąca zdobyli Gaszerbruma II i Gaszerbruma I. Obu wejść dokonali nowymi drogami w stylu alpejskim, czyli bez wcześniejszego zakładania obozów. Rok później udali się pod owianą mitem niemożliwej do zdobycia „świetlistą ścianę" Gaszerbruma IV. Jej charakterystyka sprawia, że prawie niewykonalne jest cofnięcie się. Albo się ją zdobywa, albo umiera, próbując. Gdy zbliżali się do ściany, Kurtyka zrezygnował.

– Namawiałem go do tego dwa lata, ale kiedy stanęliśmy pod ścianą, czułem niepokój. Doszedłem do wniosku, że to szaleństwo. „Jurek, spójrz, gdzie są te chmury". Jurek nie chciał odpuścić. Trudno było go odwieść [od decyzji]. Parł do przodu jak typowa osoba spod znaku Barana. Będzie parła tak długo, aż przeszkodę skruszy, chyba że wcześniej skręci sobie kark – mówił Kurtyka.

Pod „świetlistą ścianą" ich dream team się rozpadł. Kukuczka pod Gaszerbruma IV już nigdy nie wrócił. Kurtyka pojawił się tam rok później z Robertem Schauerem. Pogoda załamała się, przez dwa dni byli uwięzieni na półce skalnej. Na grań szczytową wyszli ledwo żywi. Szczytu nie zdobyli, ścianę jednak pokonali jako pierwsi w historii, a ich wyczyn magazyn „Climbing" uznał za największe osiągnięcie himalaizmu w XX wieku.

Mister Golonko

Kukuczka miał wielką słabość do jedzenia. – Jurek to nie był typ sportowca. To był himalaista, który śmiejąc się w oczy Kurtyce, zajadał całą puszkę golonki i mówił, że jak zje coś tłustego, to jest mu dobrze. Nikt z mistrzów skały by takiej diety nie wytrzymał, skręcali się na sam widok – wspomina himalaista Ludwik Wilczyński.

– Mieliśmy nieopisane konserwy, a tylko Kukuczka czuł przez blachę, gdzie jest golonka, a gdzie szynka. Przylgnęła do niego ksywka Mister Golonko – opowiadał Artur Hajzer.

Sam Kukuczka do swojej sylwetki miał dystans.

„– To ty jesteś ten Kukuczka? Wcale nie wyglądasz na alpinistę... Markus, szwajcarski przewodnik, patrzy przy tym nie tyle w moje

oczy, co znacznie niżej, tam, gdzie pod paskiem rysuje mi się niezbyt sportowy brzuch. (...) Są ważniejsze sprawy niż uwaga Szwajcara. Macham ręką. – Pogadamy na ośmiu tysiącach metrów – mruczę do siebie. Bo co będę sobie takimi aluzjami zawracał głowę".

Celina Kukuczka: W domu nie było gór, w domu było życie rodzinne, synowie, rodzina. Mówiło się o górach bardzo rzadko. Miał wielu znajomych. Dom był otwarty, lubił się cieszyć życiem, lubił towarzystwo, lubił organizować imprezy.

Andrzej Popowicz, taternik, himalaista: Jurek rodziny nigdy nie zaniedbywał. Jego rodzina miała wszystko, co potrzeba. Jego żona akceptowała to [co robił], a synowie, którzy byli mali, tym bardziej to akceptowali. Trzeba było widzieć ich zabawy ze sprzętem porozkładanym w domu Kukuczków.

Wyścig z Messnerem

Na początku 1985 roku Kukuczka miał już siedem zdobytych ośmiotysięczników. Zajęło mu to pięć lat. Reinhold Messner miał 11, na które wchodził 15 lat. Do dziś mówi się o ich wyścigu po Koronę Himalajów i Karakorum. Ale czy oni naprawdę się ze sobą ścigali?

– To [wyścig] wymyślili zachodni dziennikarze, bo zobaczyli Polaka, który robi nowe drogi albo robi drogi w zimie. Jest nowatorem, odkrywcą. Zabawa rozkręciła się na całego. Zaczęli ze sobą rywalizować – tłumaczy alpinista Ignacy Walenty Nendza, który był z Kukuczką w 1979 roku pod Lhotse.

Kukuczka uwierzył w wyścig i zdecydował się zagrać va banque – w jednym sezonie zimowym zaatakował dwa ośmiotysięczniki. To nie udało się jeszcze nikomu wcześniej. 21 stycznia razem z Andrzejem

Czokiem stanął na Dhaulagiri (pierwsze zimowe wejście), a 13 lutego zdobył z Andrzejem Heinrichem Czo Oju (nową drogą). Miał już dziewięć szczytów.

„Jestem wyschnięty, straszliwie wychudły, ale jakoś się ruszam. Ruszam się i myślę. Mam świadomość, że po Czo Oju zacząłem być traktowany jako ten, który goni Reinholda Messnera. Owszem, pogonić go trochę mogę, ale na to, by ten wyścig wygrać, musieliby Reinholda uwięzić w jego alpejskim zamku, a mnie pozwolić robić w Himalajach, co chcę. Nie oznacza to bynajmniej, że składam broń. Co to, to nie".

Kukuczka pisał, że wchodzenie na ośmiotysięczniki normalnymi drogami go nie interesuje.

Wyścig z Messnerem miał mu pomóc w realizacji celu o wiele ambitniejszego – 14 nowych dróg na 14 ośmiotysięcznikach.

„Nową drogą albo zimą, kiedy jeszcze nikt tam o tej porze roku jeszcze nie był. To jest stawka warta świeczki. Naprawdę wielka gra".

Reinhold Messner zdobył Lhotse, swój ostatni, 14. ośmiotysięcznik 17 października 1986 roku. Później nigdy już nie stanął na szczycie ośmiotysięcznika. W tym czasie Kukuczka przebywał pod Manaslu.

„Czekałem na tę wiadomość, ale teraz, gdy nadeszła, mimo wszystko robi się smutno. Jednak on jest tym pierwszym. Równocześnie odkrywam w sobie odcień pewnej ulgi. Wreszcie ta cała wrzawa wokół naszego wyścigu się skończyła. Teraz mogę dążyć do własnego celu".

Ostatni paciorek

Koronę Himalajów i Karakorum skompletował jako drugi człowiek w historii 18 września 1987 r., kiedy wraz z Arturem Hajzerem stanął na szczycie Sziszapangmy.

„Stoję na szczycie ostatniego mojego ośmiotysięcznika. Ostatni paciorek mojego himalajskiego różańca. Stało się... Wszystko dociera do mnie powoli. Jak zawsze na tej wysokości, musi torować sobie drogę przez zmęczenie, łomot spracowanego serca, oddech szarpany głodem tlenu. I nie potrafię w sobie wyzwolić radości, proporcjonalnej do tego przeżycia (...). Jestem tym wszystkim trochę ogłuszony. Człowiek nie jest jednak przygotowany do tego, by w każdych warunkach potrafił się cieszyć".

To, co Messnerowi zajęło 16 lat i cztery miesiące, Kukuczka zrobił w 7 lat, 11 miesięcy, 14 dni, w o wiele lepszym stylu. Gdy Messner dowiedział się o jego sukcesie, wysłał mu krótką wiadomość: „Nie jesteś drugi, jesteś wielki".

– Był ostatnim człowiekiem, którego można było namówić do odwrotu. Był bardzo twardy. Nie przychodziło mu na myśl, że można za szybko zrezygnować – wspomina go Zbigniew Wach, alpinista.

„Czternaście. Czternaście razy osiem... Czy coś się naprawdę skończyło? Nie. Pionowy świat nie kończy się nigdy. Trwa. Czeka. Ja przecież tu jeszcze wrócę... Zaraz... kiedyś już tak myślałem. Kiedy? No jasne! Wtedy, gdy po raz pierwszy przegrałem z Nangą. To było dawno, bardzo dawno... Całe czternaście najwyższych gór temu. Co jeszcze wtedy, po pierwszej porażce, myślałem sobie? Aha... Że Himalaje też są dla ludzi. I miałem rację".

Pionowy świat

– Był jak maszyna, parł naprzód. Miał do tego predyspozycje fizyczne i psychiczne – opisuje Kukuczkę Marian Bała, taternik i alpinista.

Kukuczka parł, a dookoła ginęli jego koledzy. Najmocniej przeżył śmierć Andrzeja Czoka, który zginął w 1986 roku na Kanczendzondze. Pół roku później na K2 od ściany odpadł wspinający się z nim Tadeusz Piotrowski. W końcu w maju 1989 roku lawina zabrała pięciu polskich wspinaczy: Eugeniusza Chrobaka, Mirosława Dąsala, Mirosława Gardzielewskiego, Andrzeja Heinricha i Wacława Otrębę.

– Zachowywał się, jakby śmierć go nie dotyczyła. Zawsze mówił: nie bój się, ja wrócę – opowiada jego żona Celina. Tak samo powiedział jej, gdy żegnali się przed jego ostatnią wyprawą.

Nie mieli dużo czasu na dworcu, bo Kukuczkę okrążyli koledzy i dziennikarze. Jeden z reporterów zapytał go, dlaczego jeszcze się wspina.

– A dlaczego kończyć, skoro tak dobrze idzie? – usłyszał w odpowiedzi. Pytany przez kolegów tłumaczył, że zaprzestanie byłoby zaprzeczeniem wszystkiego, co robił do tej pory.

W 1989 roku wybrał południową ścianą Lhotse, do której przymierzał się już wcześniej. Niezdobytą. Niełatwo było znaleźć mu partnera. Zgodził się dopiero świetny technicznie, specjalizujący we wspinaczce na wielkich ścianach Ryszard Pawłowski. Pogoda była kiepska, ale 24 października podczas ataku szczytowego była świetna. Zagotowali trochę wody, zjedli po batoniku i zaczęli się

wspinać. Prowadził Kukuczka. Używali jednej liny, żeby było szybciej. Pawłowski tak wspomina ostatnie chwile tej wspinaczki:

– Jurek był jakieś 70 metrów nade mną. Wykonał dwa szybkie ruchy i kiedy wydawało mi się, że dotknął śnieżnej grani, zupełnie niespodziewanie zaczął się osuwać. Początkowo wolno, ale z każdym ułamkiem sekundy szybciej. Wszystko, co mogłem zrobić, to się skulić w sobie, nie słyszałem żadnego krzyku Jurka, odgłosu. Prawdopodobnie on nie spodziewał się, że lot będzie taki długi. Lina nade mną na jakimś ostrym fragmencie skały się przerwała. Wszystko, co widziałem, to Jurka spadającego do kotła, do podstawy ściany – opowiada Pawłowski.

Celina Kukuczka: Wojtek, nasz młodszy syn, obudził się o czwartej nad ranem. Obudził ciocię: ciociu, śniło mi się, że jeździłem z tatą windą, nie chciała się zatrzymać, a tata naciskał alarm i krzyczał: alarm, alarm. Chodził w góry, by przeżyć inny, lepszy świat. Kiedy z nich wracał, był innym, lepszym człowiekiem. Góry uczyły go pokory. Zdawałam sobie później z tego sprawę, że najważniejsze dla niego są góry. Nie starałam się odebrać mu tego, co dla niego było najważniejsze.

Krzysztof Wielicki: Wspinanie się z Jurkiem dawało jakieś poczucie bezpieczeństwa. Może wynikało to z jego upartości. Jurek przeważnie wspinał się tak długo na wyprawie, aż szczyt zdobyto. Jurek mówił: szczyt zapłacony, to musi być zdobyty. Ludzie lubili z Jurkiem jeździć, bo wiedzieli, że mają szansę wejść, bo Jurek na pewno wejdzie.

Wojciech Kurtyka: Są pewni ludzie, do których śmierć nie pasuje. W moim intuicyjnym przeczuciu nie przychodziło mi na myśl, że Jurek tak może skończyć. Chociaż przesłanki były strasznie mocne.

Simone Moro: Urzekła mnie historia Kukuczki, „biednego” człowieka z kraju, gdzie góry są niskie. Pokazał, że może wspinać się tak samo dobrze jak alpiniści z górskich państw. Ba, był jednym z najlepszych na świecie. To przykuło moją uwagę, bo jego droga była podobna do mojej. Urodziłem się w ubogiej rodzinie, miałem dwóch braci. Za oknem nie widziałem potężnych gór, w pobliżu były szczyty zbliżone wysokością do tych, które macie w Tatrach. Kukuczka i inni polscy wspinacze pokazali mi drogę. Nie musiałem mieć pieniędzy, nie musiałem wychowywać się w wysokich Alpach. Pasją zaraziłem się więc od Kukuczki, a od Messnera nauczyłem się, jak organizować wyprawy i rozmawiać z ludźmi. Zacząłem się wspinać i w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że alpinizm, który uprawiał Messner, odchodzi do przeszłości. Mogłem robić to, co on, ale podążałbym tylko za nim. Nie chciałem tego, nie chciałem być wiecznie drugi. Zacząłem się więc zastanawiać, na czym ma polegać nowy alpinizm. I odpowiedź przyszła z Polski. Zacząłem wspinać się w zimie.

Jerzy Kukuczka: Wreszcie najwspanialszy moment w każdej wspinaczce. Chwila, kiedy od szczytu dzieli mnie już tylko kilka kroków, kiedy wiem, że już nic nie stanie mi na przeszkodzie, kiedy wiem, że zwyciężyłem... Zwyciężyłem nie górę czy pogodę, lecz przede wszystkim siebie, swoją słabość i swój strach. Kiedy mogę już podziękować górze, że i tym razem była dla mnie łaskawa. Tych chwil nie oddam nikomu za żadne skarby i jeżeli muszę w drodze do szczytu pokonywać przeszkody i ocierać się o nigdy nieokreśloną granicę między kalkulowanym ryzykiem a ryzykanctwem, to trudno, zgadzam się. Zgadzam się na walkę ze wszystkimi niebezpieczeństwami, które na mnie czyhają. Zgadzam się na wiatry, które tygodniami biją w ściany namiotów i doprowadzają do granicy szaleństwa. Zgadzam się na drogi prowadzone na granicy

wytrzymałości. Zgadzam się na walkę. Nagroda, którą otrzymuję za te trudy, jest niebotycznie wielka. Jest nią radość życia.

***Cytaty pochodzą z książki Jerzego Kukuczki „Mój pionowy świat", nagrań serii „Himalaiści" wyprodukowanej przez Discovery oraz materiałów własnych autora.**

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Reinhold Messner: Koniec zimowego himalaizmu

– Bardzo doceniam sukces Nepalczyków, ale na K2 zdarzały się rzeczy większe. Na ich zdjęciach szczyt i okolice przypominały zimę w Dolomitach, a nie w Karakorum. Czy w tych warunkach została wyznaczona nowa linia, nowe podejście do góry? Nie – mówi Reinhold Messner, pierwszy w historii zdobywca wszystkich ośmiotysięczników.

RADOSŁAW LENIARSKI

FOT. ADAM GOLEC/AGENCJA GAZETA

Alpinista Reinhold Messner w Bolzano we Włoszech.

Reinhold Messner jako pierwszy wspiął się na wszystkie ośmiotysięczniki (14), a także jako pierwszy wszedł bez dodatkowego tlenu na Mount Everest, wytyczył mnóstwo nowych dróg. Legenda najwyższych gór z heroicznych czasów – lat 70. i 80., uznawany przez wielu za największego – tu rywalem może być jedynie Jerzy Kukuczka, z którym Włoch stoczył walkę o pierwszą Koronę Himalajów.

Dziś Messner ma 76 lat. Trzy lata temu wraz z innym polskim legendarnym himalaistą Krzysztofem Wielickim otrzymał

prestiżową Nagrodę Księcia Asturii za życiowe osiągnięcia. Napisał 80 książek, we włoskim Tyrolu Południowym prowadzi sieć górskich muzeów poświęconych związkowi ludzi z górami.

RADOSŁAW LENIARSKI: Co teraz z zimowym himalaizmem, gdy już Nepalczycy weszli na ostatni niezdobyty zimą ośmiotysięcznik?

REINHOLD MESSNER: Można się było tego spodziewać od kilku dni przed ich wyjściem w górę. Pamiętajmy, Nirmal Purja – główny rozgrywający pod K2 – wszedł na wszystkie ośmiotysięczniki w ciut więcej niż pół roku, a na Everest, Lhotse i Makalu w pięć dni. Idealna logistyka – było to imponujące. Pomagała mu wtedy firma Seven Summits Treks, czyli ta sama, która była również pod K2. Teraz Nepalczycy wykorzystali jego doświadczenie.

Jest to wielkie wydarzenie, bo przez kilka dekad próbowano wspiąć się zimą na wierzchołek K2 i nie udawało się. A starali się ludzie z połowy świata, w tym wasz – trochę wasz – Denis Urubko.

Powiedzmy sobie jednak szczerze, że nie jest to osiągnięcie wiekopomne z powodu trudności, jakie zostały tam pokonane. Wyglądało wręcz na dowód, że teraz letnie lub wiosenne wyprawy bywają czasem trudniejsze niż zimowe. Na K2 nie było zbyt dużo śniegu. Nie było strasznie zimno. Jet stream nie był aktywny, panowała niemal cisza. Zdjęcia ze szczytu K2 i okolic przypominały zimę w Dolomitach. Czy w tych warunkach została wyznaczona nowa linia, nowe podejście do góry? Nie. Wręcz przeciwnie, to koniec. Bardzo szanuję ich za to, czego dokonali, jednak cóż, zdarzyły się większe rzeczy na K2.

Największa waga zdobycia zimą K2 polega na czymś innym. Oznacza koniec zimowego himalaizmu, tego fenomenu, który został zapoczątkowany przez Polaków w latach 70. i 80. XX w. Zaczęło się od [Krzysztofa] Wielickiego, [Leszka] Cichego i ich zimowego Everestu w 1980 r., skończyło na Nepalczykach i K2. Ich dzieło stanowi klamrę. Skończyło się. Każdy ośmiotysięcznik został zdobyty zimą i latem. Zainteresowanie takim rodzajem wspinaczki zaniknie.

Koniec z takim wspinaniem zimowym nastąpił również z powodu zmian klimatycznych. Widać to wszędzie, nie tylko w najwyższych górach. W 1962 r. Hilti von Allmen i Paul Etter dokonali pierwszego zimowego wejścia na północną ścianę Matterhornu i to był szok. Ale teraz bezpieczniej zimą wchodzić na przykład północną ścianą Eigeru niż w innej porze roku. Lokalni mieszkańcy już nie obserwują z zaciekawieniem takich, którzy się na Eiger wspinają zimą. Zimowe wspinaczki stały się normalną aktywnością w górach. Dobrze, tej zimy mamy więcej śniegu, no, ale już naprawdę trudno odseparować zimowe wspinanie od jesiennego – i to samo jest z ośmiotysięcznikami. Więc zimowe wyprawy zostaną zapomniane, jako czterdziestoletni fenomen w 250-letniej historii alpinizmu.

Wszystkie ośmiotysięczne szczyty zostały zdobyte latem i zimą. Wiadomo, co Szerpowie będą dalej robić. Inni muszą znaleźć sobie jakiś wielki cel. Ale czy taki jest?

– Tak, teraz przez najbliższą dekadę Szerpowie będą stanowić najważniejszą grupę wspinaczy na ośmiotysięcznikach. Coraz częściej będą przewodzić wyprawom komercyjnym. I oczywiście wciąż będą zarabiać, organizując ekspedycje ze wschodu i zachodu.

Przyszłość będzie polegać na wyznaczaniu nowych trudniejszych linii, dróg na szczyt. Szukaniu nowych, pięknych, nieodkrytych dla wspinaczy gór, których są na przykład w Ladakhu tysiące. I setki tysięcy nowych dróg na te szczyty. Są trudne drogi, które trzeba pokonać po raz pierwszy. Młodzi powinni spróbować na przykład północnej ściany Maszerbruma (7821 m n.p.m.), do której były dwa nieudane podejścia. Szerpowie jej nie pokonają, bo nie są tak mocni technicznie.

No tak, ale przepraszam, kogo na świecie będzie to obchodziło?

– Rzeczywiście zainteresowanie tego typu odkryciami zostało zniszczone. W dobie, gdy setki ludzi jednego dnia chcą się wdrapać na Everest, powszechnej wyobraźni nie poruszy wspinacz, który wchodzi na szczyt siedmiotysięcznika w Ladakhu. Teraz znacznie więcej osób wchodzi w komercyjnych wyprawach na Everest niż na Mont Blanc. Nazywam to alpinizmem wyciągowym, gdyż to mechanizm, który już raz zadziałał – w narciarstwie. Kiedyś narciarstwo uprawiała ścisła elita lub górale, dziś na bezpiecznych trasach zjeżdżają miliony ludzi.

Musimy na nowo nauczyć się cieszyć z obcowania z przyrodą, co jest najważniejszą rzeczą w alpinizmie. Ale czy to jest możliwe, jeśli za kilka miesięcy dziesiątki milionów widzów zobaczy na igrzyskach wbiegających na skałkę zawodników i pomyśli, że to jest właśnie wspinaczka? Że to jest właśnie alpinizm? A tak pomyślą na pewno. W ten sposób fascynacja górami znika. Musimy wrócić do czystości narracji górskiej. Góra jest osobistym wyzwaniem i wysiłek, aby na nią wejść, nie musi stać się od razu doświadczeniem milionów na twoim profilu Facebooka.

W Polsce miłość do historii wysokogórskich jednak nie zniknie. W każdym razie nie szybko. U nas wszystkie gazety, portale, wiadomości w TV i radiu pełne były K2.

– Tutaj, we włoskich górach, też. Pewnie również w krajach, których mieszkańcy interesują się takimi wyczynami ze względu na górską tradycję.

Ale pamiętajmy dlaczego było tak wyjątkowe zainteresowanie, zapewne po raz ostatni: K2 był jedynym niezdobytym zimą – dla mnie najpiękniejszym – ośmiotysięcznikiem. Z historią bardzo wielu nieudanych prób i śmierci. W dodatku Nirmal Purja, Mingma G i Chhang Dawa robili wiele dla rozpropagowania wyczynu. Śledziliśmy ich postępy niemal na żywo. Ale to już koniec. Zawsze jest jakiś koniec, trzeba się z tym pogodzić. Ja na przykład kochałem alpinizm, jednak w pierwszej wyprawie na Nanga Parbat straciłem palce u stóp z powodu odmrożeń i bez nich już nie mogłem być klasycznym, skalnym alpinistą. Więc zostałem himalaistą. Ale i ten etap się skończył, gdy wszedłem na wszystkie ośmiotysięczniki i poczułem, że w wieku 42 lat już nie jestem taki mocny jak kiedyś. Stałem się w jakiś sposób wolny, mogłem robić inne, ciekawe rzeczy. Mam 76 lat, więc podjąłem właściwe decyzje we właściwym czasie. A teraz w moim muzeum górskim próbuję podtrzymać tradycje klasycznego alpinizmu, tak aby młodzi ludzie wiedzieli, co to jest.

W Polsce wiedzą. Na przykład wszyscy w Polsce chcieli się wypowiedzieć na temat dodatkowego tlenu. Dobrze jest go użyć czy nie?

– Nie chcę się angażować. Dodatkowy tlen to sprawa bezpieczeństwa. Są też inne ułatwienia, jak lepszy sprzęt, komórki z

prognozą pogody, jest GPS. Gdy ludzie weszli pierwszy raz bez tlenu na Everest, przeprowadzili dowód, że to możliwe, i kropka. Powiem tylko, że dla mnie, jeśli ktoś przed tobą wyznacza szlak, korzystając z dodatkowego tlenu, a ty, idąc jego śladami, nie używasz go, to jakby korzystasz z jego butli. Nirmal Purja nie robił z tego sprawy. Rozmawiałem z nim przed jego wyprawą na Nanga Parbat – powiedział, że wie, że bez tlenu jest to możliwe, ale że z tlenem jest to bezpieczne. Na K2 widocznie czuł się na tyle bezpiecznie, że nie skorzystał.

Cieszy pana taka emancypacja Szerpów? Jak z nią było w pana czasach?

– Szerpowie wtedy nie mogli pracować w Pakistanie, więc Karakorum było dla nich wyłączone. Lokalni przewodnicy nie byli tak dobrzy. Byli mniej doświadczeni i sprawdzali się jako tragarze wysokogórscy, ale nie jako wspinacze. A i w Himalajach Szerpowie nie byli na tyle dobrzy, aby prowadzić, poręczować. To robiliśmy my i tylko my. Oni szli za nami. I to jest normalny proces nauczania: najpierw w latach 20. XX wieku Brytyjczycy wynajmowali ich do ekspedycji jako kucharzy i tragarzy. I przy tym ginęli, jak siedmiu w lawinie w 1922 r. Potem wchodzili ze wspinaczami coraz wyżej i wyżej. I znów marli po drodze, jak i my – to przypadek śmierci sześciu z nich w wyprawie niemieckiej w 1934. Potem towarzyszyli nam – jak Norgay Tenzing Hillary'emu – na szczycie. Zawsze biały kierował. To się właśnie skończyło.

Teraz – w XXI wieku – sami zdobywają szczyty, sami prowadzą wyprawy. I dobrze: to ich góry, są zaaklimatyzowani, mają już umiejętności i są niezwykle mocni psychicznie. Ale tu ważna uwaga: są wspaniali, ale gdy idą na ośmiotysięcznik prostą drogą, a nie nową, trudną. Wciąż technicznie lepsi są wspinacze z Zachodu,

wychowani w tradycji alpinizmu Polacy, Hiszpanie, Włosi, Francuzi. I to się szybko nie zmieni. Te trudne nowe drogi będą wyznaczać ludzie Zachodu, z większym technicznym doświadczeniem.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Marek Raganowicz: Pokonaj żywioł!

Codziennie pokonuję kilkadziesiąt metrów w górę. Wszystko wciągam na linach. Nie schodzę, zanim nie pokonam ściany. Śpię w podwieszanym namiocie.

DOMINIK SZCZEPAŃSKI

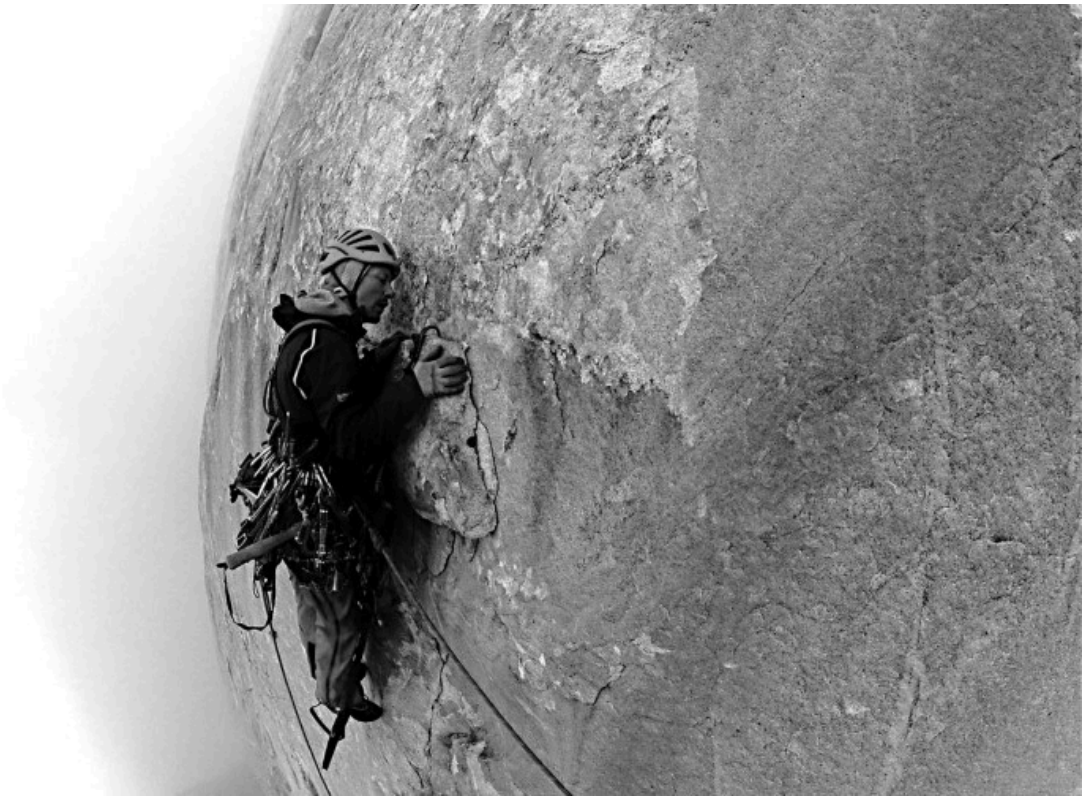

FOT. MARCIN TOMASZEWSKI

Wspinacz wielkościanowy Marek Raganowicz.

Marek Raganowicz – urodzony w 1961 r., wspinacz, z wykształcenia kulturoznawca, pracuje na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Uczestniczył w trzech wyprawach w Himalaje Garhwalu w Indiach, ale nigdy nie został himalaistą, nie brał udziału w wielkich polskich ekspedycjach lat 80. Trzymał się z boku, do dziś bardzo rzadko opowiada o swoich wspinaczkach. Po 18 latach przerwy, w 2006 roku, znów zaczął się wspinać na poważnie. W świecie cenione są jego nowe drogi, które wytyczył wraz z Marcinem Tomaszewskim na wielkich ścianach Great Trango Tower w Pakistanie, Polar Sun Spire na Ziemi Baffina i Ścianie Trolli w Norwegii. To o takich przejściach, a nie o himalaizmie, można częściej przeczytać w prestiżowej prasie wspinaczkowej w USA. Na Ziemię Baffina wrócił wiosną 2017 roku i samotnie poprowadził dwie drogi.

DOMINIK SZCZEPAŃSKI: Ile tygodni spędziłeś sam na arktycznej Ziemi Baffina?

MAREK RAGANOWICZ: Siedem. Tylko jedna osoba wspinała się tam samotnie przede mną – w 1999 roku Mike Libecki wytyczył nową drogę na 600-metrowym pionowym urwisku Ship's Prow. Właśnie na nim chciałem poprowadzić swoją linię. Ściana stoi siedem godzin drogi skuterem śnieżnym od Clyde River, najbliższej osady Innuitów.

Pojechałeś tam z Marcinem Tomaszewskim. Jak to się stało, że zostałeś sam?

– Nie było pogody i Marcin musiał wracać. Już wcześniej zamierzałem, że zostanę sam, ale gdy przyszła ta chwila, nie chciał mnie zostawiać. Powiedziałem mu, że będę się trzymać planu. Jest

fajnie, trochę zimno, ale dobrze mi tu, czuję się jak u siebie. Pewnie pomogło, że obaj podobnie rozumiemy wspinaczkę wielkościanową w trudnych warunkach. Na Ziemi Baffina momentami temperatura spadała do minus 50 stopni Celsjusza i wiał bardzo mocny wiatr.

Na czym polega wspinaczka na takiej ścianie?

– Codziennie pokonuję kilkadziesiąt metrów w górę. Wszystko, co potrzebne, wciągam na linach. Nie schodzę, zanim nie pokonam ściany. Śpię w podwieszanym namiocie, czyli portalegde'u.

Ship's Prow ma dwie ściany – wschodnią i północną. Północna – bardziej stroma i wyższa – była moim głównym celem, ale z powodu zimna nie byłem w stanie rozpocząć wspinaczki.

Podczas spacerów zauważyłem, że wschodnią ścianę do południa oświetla słońce i temperatura wzrasta na tyle, by w pogodny dzień wspinać się tam przez trzy-cztery godziny. W południe słońce chowało się za ścianą, nachodzący cień przynosił nieznośny chłód. Musiałem więc chować się na 20 godzin w portalegde'u.

Jak znieść 20 godzin w podwieszanym namiocie, czekając na cztery godziny wspinaczki?

– Krzyczałem na głos ze szczęścia, że tam jestem. W czasie całej wyprawy zapisałem ponad 130 stron zeszytu, głównie przemyślenia o wspinaczce i samotnym byciu w Arktyce. Pisanie było dla mnie sposobem radzenia sobie z samotnością. Nie miałem chwili znużenia.

Przez 17 dni na ścianie?

– Pod koniec byłem zmęczony, zwłaszcza wciąganie rzeczy było koszmarnie uciążliwe, ale jednocześnie czułem radość.

Można polubić życie w pionowym świecie?

– Tak, chociaż to trudne życie. Ale nawet kiedy są słabsze momenty, powtarzam sobie, że jest fajne.

Gdy pięć lat temu wytyczaliśmy z Marcinem nową drogę na Ziemi Baffina, spędziliśmy w ścianie 28 dni. Po 20 zaczęliśmy odczuwać zmęczenie psychiczne. Ziemia Baffina to pustkowie, gdyby się coś stało, nikt by nas nie uratował. Moglibyśmy wezwać pomoc przez telefon satelitarny, ale w najlepszym razie wojskowy helikopter przyleciałby po kilku dniach. Tamta droga z Tomaszewskim – nazwaliśmy ją „Superbalance" – dostała siódemkę w skali wspinaczki wielkościanowej. To górna granica skali. Na świecie jest tylko kilka tak trudnych dróg. Nie wyobrażamy sobie, by zrobić coś większego. Chodzi nie tylko o trudność, ale też warunki tam panujące, oddalenie od cywilizacji, brak wsparcia.

Podczas pierwszej wyprawy na Ziemię Baffina byliście jednak razem. Czym się różni samotna wspinaczka?

– Pierwszy raz w moim życiu było tak cicho, że słyszałem pracę własnych organów. Musiałem wyciągnąć baterie z budzika, bo dźwięk tykającej wskazówki był nie do wytrzymania. Czas był zbędny. Rytm dnia wyznaczało słońce, które po paru tygodniach od przyjazdu praktycznie przestało zachodzić. Zbliżał się dzień polarny, godziny przestały mieć znaczenie.

Libecki swoją drogę na Ship's Prow nazwał „The Hinayana". To nazwa szkoły buddyjskiej. Dużo opowiadał o medytowaniu w tym miejscu, ale zorientowałem się, że nie trzeba tam medytować. Chcę uniknąć egzaltacji, daleko mi do niej, ale samo przebywanie na Ship's Prow było medytacją. Widok jest zniewalający. Wisisz na

wielkim urwisku, a obok fiordy urywają się w morzu pełnym gór lodowych.

Śnieg i lód mieniące się tysiącami odcieni bieli zatracają się na horyzoncie. Czujesz się, jakbyś był w innym wymiarze, poza cywilizacją, a nawet materialną rzeczywistością.

To chyba niemądre dla wspinacza tak odlecieć.

– Wydarzenia na tej wyprawie zdecydowanie przywoływały mnie do realnego świata. Po pokonaniu połowy ściany spojrzałem w dół i zauważyłem, że coś leży obok sań. To musiała być strzelba, przedmiot był podłużny, ale zostawiłem ją spakowaną. Kiedy zszedłem, dostrzegłem mnóstwo śladów niedźwiedzi. Chodziły również wokół namiotu. Przestraszyłem się, ale musiałem odpocząć przed wspinaczką na północnej ścianie, która miała mi zająć 13 dni.

Położyłem się w namiocie. Niedźwiedź przyszedł, gdy czytałem książkę. Przestało wiać i usłyszałem chrupanie śniegu. Strzelbę miałem obok, ale była nieprzeładowana. Pomyślałem, że skoro niedźwiedzie węszyły tu kilka dni wcześniej, ale nie ruszyły namiotu, może i tym razem sobie pójdą. Może nie będą wiedziały, że jestem w środku?

Oczywiście byłem naiwny. Niedźwiedź doskonale wyczuwał, że jestem wewnątrz. Szarpnął namiotem, złapałem za strzelbę i przypomniałem sobie, jak Leonardo DiCaprio walczył z grizzly w „Zjawie". Czekałem, aż niedźwiedź porwie namiot i wedrze się do środka. A tu cisza.

Innuita, który przywiózł mnie pod ścianę, powiedział, że nie usłyszę ataku aż do momentu, gdy niedźwiedź zacznie sapać mi nad głową.

Miał więcej dobrych rad?

– Instruował, że po otwarciu namiotu trzeba strzelić w powietrze, by odstraszyć zwierzę. Zacząłem rozsuwać zamek, bałem się tak, że każdy ząbek eksplodował dźwiękiem jak dzwon Zygmunta. Niedźwiedź patrzył na mnie z 50 metrów. Huknąłem w powietrze i zaczął uciekać. Odetchnąłem, obejrzałem namiot. Okazało się, że przed chwilą stał 20 centymetrów od mojej głowy, a szarpnięcie wynikało z tego, że potknął się o linkę. Głuptas mi się trafił, całe szczęście, inny pewnie wskoczyłby do środka. Zacząłem się pakować. Wtedy wrócił.

Strzeliłem siedem razy i uciekł na drugą stronę fiordu.

Spakowałem sprzęt w worki, obłożyłem nimi namiot i położyłem się spać. Musiałem jeszcze trochę odpocząć.

Rano nic nie było słychać. Wyszedłem do toalety, którą zrobiłem sobie pod lodową ścianką 70 metrów dalej. Zobaczyłem jego ślady. Nocą tarzał się w moich odchodach. Trafił mi się więc nie dość, że głuptas, to na dodatek zboczeniec. Znalazłem tam mój worek i linę. Przyciągnął je i rozszarpał, kiedy spałem.

Kolejne noce spędziłem z rakietnicą w dłoni i strzelbą przy poduszce. Kiedy znów się pojawił, stał 20 metrów od namiotu. Odbiegł trochę i stanął. Wystrzeliłem ze strzelby.

Kilka dni później zacząłem się wspinać. Z góry zobaczyłem ślady trzech niedźwiedzi, które przyszły z różnych kierunków.

Po wszystkim zapytałem Innuitę, który pożyczył mi strzelbę, czy nie dałby mi pokrowca na pamiątkę. Zgodził się. Powąchał go i przyznał, że wciąż jeszcze pachnie foką. To przez ten cholerny

pokrowiec do mnie przychodziły! Długo się z tego śmiałem. Ta druga droga, którą wytyczyłem na północnej ścianie poganiany przez niedźwiedzie, była szczytem wszystkiego, co udało mi się zrobić w górach.

Była najtrudniejsza ze wszystkich?

– Prowadziłem trudniejsze, ale ta była najpiękniejsza. Nie wywierciłem w skale żadnego otworu, w którym umieściłbym przyrząd pomagający w asekuracji.

Dlaczego?

– Bo to wspinaczka w zgodzie z naturą. Można dorabiać wiele ideologii, ale prawda jest taka, że wspinając się w ten sposób, mam poczucie harmonii z otoczeniem, a to źródło siły potrzebnej do zmierzenia się ze ścianą. Tłumaczę sobie górnolotnie, by wprowadzić się w dobry humor, że niedźwiedzie pozwoliły mi tam być. W końcu nikt nikogo nie skrzywdził, chociaż każdy z nas mógł, i to było niesamowite. Tak samo ściana. Wspinałem się bez wiercenia, kosztowało mnie to wiele wysiłku, ale się udało. Nie zniszczyłem skały, a ona się odpłaciła piękną drogą. Umocniłem się też w przekonaniu, że trzeba się starać.

Powrót po siedmiu tygodniach samotności jest trudny?

– Katastrofalny. Przyjechali po mnie Innuici, w stolicy Ziemi Baffina miałem przesiadkę na samolot. To małe miasto, ale denerwował mnie hałas i ruch na ulicy. Kiedy wróciłem do domu w Szkocji, nie chciałem nikogo widzieć. Tydzień później musiałem być w pracy, na platformie wiertniczej. Nie wiedziałem, o czym ludzie do mnie mówią. Byłem między nimi, ale oglądałem te sytuacje jak w

telewizorze. Patrzyłem na wszystko z pozycji świadka. To bardzo łatwe tak się dystansować do świata po takich doświadczeniach.

I straszne.

– Poprzednim razem gdy wróciłem z Ziemi Baffina, zadzwoniłem do Marcina Tomaszewskiego. „Yeti [ksywka Tomaszewskiego], tu jest dziwnie, nie mogę się dostosować. Za tydzień jadę do pracy, nie wiem, co mam zrobić, bo jak idę do sklepu, dziwnie patrzę na ludzi, aż mi głupio. Coś jest ze mną chyba nie tak" – powiedziałem. On na to: „Regan, ty za tydzień idziesz do pracy, a ja już następnego dnia po powrocie musiałem pójść. Stary, ja nie wiem, gdzie jestem. Chyba potrzebujemy jakiejś pomocy, żeby się znów wdrożyć".

Powroty są nierealne. Ale przebywanie tam też. Któregoś dnia byliśmy wysoko, wszystko poniżej skryły chmury. I z tych chmur ktoś zaczął nas nawoływać. Na początku myślałem, że to omamy. A to Innuici jechali na polowanie i na nas krzyczeli. Zaczęliśmy coś odkrzykiwać do tych chmur, tak jakbyśmy z nimi rozmawiali.

Dlaczego zacząłeś się wspinać?

– Bo szukałem przygód i byłem zbyt słabym perkusistą. Zacząłem grać w wieku kilkunastu lat, od razu na całego. Wstawałem przed 6 rano, o 6.15 pukałem w tylne drzwi szkoły muzycznej, wpuszczała mnie sprzątaczka i ćwiczyłem przez dwie godziny do początku zajęć. Ćwiczyłem też po szkole i o 20 wracałem do domu kompletnie wypruty. Byłem szczęśliwy do momentu, gdy zauważyłem, że nieważne, ile bym ćwiczył, nie zbliżę się do muzyków, których uważam za idoli. Mogłem grać w knajpie, ale to mnie nie interesowało. Szukałem więc czegoś, w czym mogłem być najlepszy i się wyżyć.

W tamtym okresie kręciłem się wśród hipisów. To były czasy świetności kompotu z maku, wielu z nich zostało ćpunami. Któryś pożyczył mi „Jogę królewską", książkę wytrzaskaną na powielaczu, bo cenzura by jej nie przepuściła. W 10 dni przepisałem ją do zeszytu. Nie byłem jednak w stanie jej zrozumieć, brakowało mi wiedzy psychologicznej i filozoficznej. Spodobało mi się za to zdanie, że każdy człowiek jest geniuszem w jakiejś dziedzinie. Trzeba tylko znaleźć swoją działkę i wydobyć z siebie potencjał, wyruszyć w drogę.

Tak rozumiałem wspinaczkę – jako drogę, poszukiwanie i radość odkrywania. Okazało się, że mam do niej serce i talent. Radziłem sobie lepiej niż rówieśnicy, byłem bardziej odporny fizycznie i psychicznie.

Mieszkałeś w Szczecinie. Gdzie spotkałeś wspinaczy?

– W szkole średniej pojechaliśmy z bratem do Zakopanego. Z Hali Gąsienicowej dostrzegłem ludzi wspinających się na Kościelec. W schronisku puszczali z magnetofonu kasetowego songi Wysockiego. Miałem 17 lat i byłem zachwycony. Na drugą część wakacji pojechałem do Łukęcina nad Bałtykiem. W kiosku kupiłem książkę „W cieniu Kangczendzengi". Opowiadała o warszawskiej wyprawie na Kunyang Chhish, szczyt prawie ośmiotysięczny, który został zdobyty dopiero w 1971 roku. Było gorąco, leżałem na plaży i nie mogłem się od tej książki oderwać.

Kiedy zostałem taternikiem, zrozumiałem, że wspinanie jako takie nie jest aż tak ważne, bo to przecież jedynie zginanie ręki w łokciu. Podobały mi się szybkie zmiany w życiu i przygody, które normalnie się nie zdarzają. Gdy wracałem z gór, głowa

eksplodowała mi od emocji i nie mogłem się doczekać, kiedy znów będę się wspinał.

Żeby przetrwać normalne życie do następnego wyjazdu, wypożyczałem kolejne książki. Z nóg zwaliły mnie „Moje góry" Waltera Bonattiego i „W burzy i mrozie" Tadeusza Piotrowskiego. Każda opisywana tam wspinaczka była jak wejście do sfery sacrum, chciałem być tym wybrańcem, który stworzy sobie taką możliwość. Wiele się zmieniło, gdy w „Przekroju" trafiłem na artykuł Wojciecha Kurtyki.

W zasadzie to był manifest, w którym ten wybitny wspinacz deklarował chęć pokonywania największych urwisk świata w małych zespołach.

– Opisywał, jak wygląda kilkunastodniowe życie w zawieszeniu, gdy poznaje się rytm wielkiej ściany, z którym trzeba się zlać w jedno. Coś mnie w tym urzekło i tak zostało do dziś.

W Szczecinie było się gdzie wspinać?

– Po murach. Pierwszy raz skały dotknąłem w Tatrach.

Potem studiowałem kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim i często jeździłem w góry. Mówi się, że wspinaczowi najtrudniej przeżyć pierwsze pięć lat w górach i – rzeczywiście, to był kompletnie szalony okres.

Przeżywałem silne stany euforyczne, które mieszały się z chwilami gigantycznego stresu. Dziś już tego nie odczuwam. Wtedy wszystko było nowe, wyczuwało się ciśnienie środowiska, bo trzeba było nadążyć za innymi. Było w tym coś samczego.

W Morskim Oku panował taki tłok, że ludzie zapisywali się na Kazalnicę. Był nawet koordynator Polskiego Związku Alpinizmu, który sterował ruchem. Dziś drogi na Kazalnicy pokonuje kilka zespołów w sezonie.

Rodzice pozwalali ci na to wszystko?

– Mama była kierowniczką hurtowni zaopatrującej sklepy Społem. Ojciec lekarzem. Szybko się rozwiedli. Zostałem z mamą w Szczecinie, ojciec wyprowadził się do Katowic.

Mama była twardą kobietą. Prawie każdy wspinacz musi stawić czoło rodzinie, rozmawiać z nią o ryzyku, a w mamie podziwiałem, że nigdy nie zabroniła mi wspinaczki. Kiedyś powiedziała tylko, że jej nie popiera, ale robiła mi czapki, dała pieniądze na wyjazd w Alpy. Gdy opowiadałem o przygodach, czułem, że jest zainteresowana i dumna ze mnie.

Skąd ta akceptacja?

– Zawsze mówiła, że modli się, byśmy z bratem nie musieli chodzić do nudnej pracy, z której nic nie wynika. Chciała, żebyśmy mieli ciekawe życie. Miała takie proste zasady życia z otwartą przyłbicą. Uwielbiałem jej opowieść o dziadku i jego odwadze. Przed wojną był bokserem i prowadził sklep. Gdy Rosjanie zajęli Zamość, NKWD zaczęło szaleć na ulicach. Jeden z żołnierzy szedł pijany i kopał witryny sklepów, aż dostał od dziadka plombę i padł na glebę. Rosjanie złapali dziadka i poprowadzili do swojej siedziby w starym banku. Wchodziło się przez obrotowe drzwi, a tymi operował kuzyn dziadka. Drzwi były niewielkie, tylko jedna osoba mieściła się w jednej przegrodzie. Kuzyn tak przekręcił drzwi, że dziadek uciekł i się ukrył.

Przygodę z Tatrami zaczynałem, gdy wśród wspinaczy czuć było więź, braterstwo. W zimie do Morskiego Oka zjeżdżała się elita: Wojtek Kurtyka, Andrzej Machnik i inni. Wśród nich znaleźli się tacy, którzy chcieli nas uczyć, bezinteresownie zabierali w góry. Mnie wprowadzał Andrzej Zakrzewski. Po pierwszej drodze powiedział, że świetnie chodzę w rakach. Myślałem, że pęknę z dumy. To były moje początki, ale już drugiej zimy przeszedłem samotnie pierwszą poważną drogę w Tatrach w grudniu 1983 roku.

Trzy lata po pierwszym zimowym wejściu na Mount Everest przez Krzysztofa Wielickiego i Leszka Cichego. Wtedy Polska pierwszy raz tak wyraźnie usłyszała o wspinaczach.

– Byłem jednym z tych, których tamta wyprawa mocno elektryzowała. Na studiach trafiłem do Klubu Wysokogórskiego w Katowicach. Należeli do niego m.in. Jerzy Kukuczka, Krzysiek Wielicki, Mirek „Falco" Dąsal. Zahukany przechadzałem się pomiędzy tymi pomnikami, nie wiedziałem, czy mam do nich mówić „proszę pana". Oswoił mnie Janusz Majer, dziś szef Polskiego Himalaizmu Zimowego. Na początku i on mnie onieśmielał, bo był jednym z wielkich, ale miał ogromne serce dla wszystkich, był otwarty i uprzejmy. Na tym samym roku co ja studiował też Artur Hajzer. Był skoncentrowany na himalaizmie, ale mnie i mojemu koledze „Kubolowi" bardziej od himalaizmu wielkowyprawowego podobała się droga Kurtyki.

Dlaczego?

– W każdym klubie ktoś chciał jechać w Himalaje, ale te wyprawy były niedostępne. Trzeba było walczyć, rozpychać się łokciami, by załapać się do składu. Arturowi na wyjazdach bardzo zależało. Któregoś razu starsi kazali mu spadać, ale mieli kłopot, bo w

odprawie celnej w Bombaju utknęła ciężarówka ze sprzętem i nikt nie potrafił jej wydostać. Artur umiał takie rzeczy. Powiedział, że to załatwi, jeśli trafi na wyprawę, i oczywiście mu się udało.

Nas taka gra nie interesowała, nie chcieliśmy brać udziału w walce o Himalaje. Oczywiście marzyliśmy o dalekich wyprawach, ale miejsce na nich chcieliśmy dostawać w zamian za umiejętności. Woleliśmy więc skromniejsze wyjazdy, ale nasze własne, z których mogliśmy się cieszyć. Nie chcieliśmy wchodzić w układy. Podobała nam się niezależność Kurtyki i lekkość jego dwu-, trzyosobowych wypraw.

Kim wtedy byli wspinacze?

– W latach 80., kiedy zaczynałem, prawie wszyscy byli studentami. To był sport ludzi z wyższym wykształceniem i to odróżniało nas od innych dyscyplin i od wspinaczy w innych krajach.

Co roku jeżdżę w Yosemity, do kolebki amerykańskiej wspinaczki, i spotykam tam ludzi, którzy ledwo skończyli szkołę średnią, po czym po prostu zamieszkali pod ścianami, spędzając życie na wspinaczce. Tego w Polsce nie było, może z powodu obowiązkowej służby wojskowej. Szedłeś albo na studia, albo do wojska. Wspinacze musieli więc studiować. W Ameryce mogli koczować w górach. Kimś takim był np. Jim Bridwell.

Legenda amerykańskiego wspinania, jeden z guru lat 70. Miał opinię szaleńca, wspinał się pod wpływem LSD.

– Miał gigantyczny wykaz przejść we wszystkich górach świata: Yosemity, na Alasce, w Alpach, Himalajach. Wszystko bardzo trudne drogi. Potem walczył o przeżycie [zmarł w 2018 r.]. Kilka lat temu odbyła się zbiórka, bo bank chciał odebrać mu dom. W którymś z

wywiadów zapytano go, czy zmieniłby coś w swoim życiu. Powiedział, że bardziej zadbałby o pieniądze.

Dlaczego jedni wspinają się do dziś, a inni w latach 80. przestali?

– Pewnie chodziło o siłę pasji, ale też mocną głowę, radzenie sobie ze stresem. Mieliśmy wypadki, ludzie ginęli, niektórzy tego nie wytrzymywali. Pamiętam jednego kumpla, który co kilka sezonów sprzedawał cały sprzęt. Mówił: „Koniec, ja to pieprzę, będę jeździł sobie na nartach". Ale kolejny rok zaczynał od kupna nowego sprzętu wspinaczkowego.

Ludzie ginęli, również na twoich oczach, a ty nie odpuszczałeś. Jak sobie to racjonalizowałeś?

– „Moje góry" Bonattiego kończą się tragedią. Ginie kilka osób, jedna dostaje obłędu po paru dniach spędzonych w burzy śnieżnej. Przeczytałem, zamknąłem książkę, pomyślałem, że jeszcze przecież nie jestem wspinaczem, nawet nie muszę zaczynać kursu, mogę pójść w inną stronę. Po prostu czytam książkę i przyglądam się wspinaniu.

Potem przeczytałem „Wołanie w górach" Michała Jagiełły. Opisał same tragedie. Znów nic to we mnie nie zmieniło, nie czułem lęku. Później, kiedy zostałem wspinaczem, ludzie zaczęli dookoła mnie ginąć – i to nie ustaje, jest częścią tego sportu. Wiele osób zwraca uwagę na moją wydolność psychiczną. Zwłaszcza przy okazji ostatniej wyprawy, siedmiu samotnych tygodni na Ziemi Baffina. Dziś robię o wiele trudniejsze rzeczy niż 35 lat temu, a jestem bardziej opanowany. Spokój bierze się więc pewnie z doświadczenia i zrozumienia.

Często powtarzam sobie w trudnych chwilach: „Nie panikuj, jakoś to będzie, zawsze na początku sprawy wyglądają groźnie, a później znajduje się przestrzeń dla siebie i można działać, walczyć".

Ale pamiętam, i opisuję to przeżycie w książce, jak kiedyś przestraszyłem się słynnej ściany Les Droites, chociaż wiele mnie kosztowało, by w tamtym momencie życia się pod nią znaleźć. Nie wytrzymałem psychicznie. Wybrałem za to łatwiejszą drogę i przyniosła mi ona wiele radości, choć najpierw wpadłem w histerię, bo wydawało mi się, że muszę przeć do przodu za wszelką cenę. Wtedy nie rozumiałem, ale dziś już wiem, że przyjemność nie zawsze znajdujemy w tym, co jest granicą naszych możliwości.

Wspinaczka jest tak pięknym sportem, bo nigdy nie jest taka sama. Droga może być taka sama, ale doświadczenia będą inne. Wszystko w górach ma swoje miejsce i czas. Świetny fotografik, wspinacz i znawca El Capitana Tom Evans powiedział kiedyś, że wychodząc na drogę, na pewno wrócisz z niej inny, ale nie dlatego, że droga cię zmieni, ale dlatego, że odkryjesz siebie jako inną osobę. Wierzę, że góry w gruncie rzeczy nas nie zmieniają. Wydobywają tylko to, co w nas tkwi.

Skąd wspinacz wie, że musi zawrócić?

– Dzięki intuicji i doświadczeniu. Któregoś razu miałem wstać i się wspinać na trudnej drodze, ale wyłączyłem budzik i poszedłem spać. Uważam to za jedno z moich największych zwycięstw w górach. Nie czułem się winny, zawsze uważałem, że zrobiłem dobrze, i prawidłowa decyzja wygrała wtedy z neurotyzmem nakazującym zrobić coś wbrew sobie. Tylko po to, by udowodnić, nie wiadomo komu, że nie jestem cieniasem.

Dlaczego nie trafiłeś na wyprawy atakujące w latach 80. ośmiotysięczniki?

– Nigdy się o to nie starałem, ale też nikt mnie nie zaprosił. „Falco" powiedział mi kiedyś, że jest rozczarowany himalaizmem. „Tyram jak wół, chodzę z wielkim plecakiem i tymi wszystkimi ładunkami, byłem chyba na siedmiu wyprawach i nigdy nie wszedłem na szczyt, a na każdą wyprawę muszę się prosić".

W wielkich wyprawach denerwowała mnie też kwestia partnerstwa. Nie chciałem wspinać się z przypadkowymi ludźmi. A gdy jesteś na wyprawie z wieloma osobami, zaczyna się kombinowanie. Kogoś boli brzuszek, bo policzył sobie, że jak wyjdzie dzień później, będzie miał większą szansę zdobyć szczyt niż koledzy, którzy będą musieli poręczować czy torować drogę dzień wcześniej. Na takich wyprawach ludzie często nie znają się ze sobą. „Falco" nie kombinował, miał etos, mówił, że w górach trzeba robić swoje. O nim mógłbym powiedzieć, że kroczył z otwartą przyłbicą.

Oczywiście podziwiałem wielu himalaistów. Np. Macieja Pawlikowskiego. Był hardcorowcem, miał niesamowitą moc, wszyscy w środowisku to wiedzieli, ale poza nim już nie, bo nie biegał po gazetach. Koniem pociągowym, nadczłowiekiem był też Walek Fiut. Następni: Ryszard Gajewski, Maciej Berbeka. W himalaizmie liczyła się też jednak skuteczność, a ona wymagała wspomnianych wcześniej działań lub wiele szczęścia.

Nie jest ci przykro, że himalaizm swoją popularnością przykrywa inne odmiany wspinaczki?

– Hajzer powiedział kiedyś: „Wiecie, dlaczego himalaizm jest taki, że wszyscy na niego patrzą? Bo jak człowiek idzie w śniegu po Beskidach, wyobraża sobie, że tak samo jest w Himalajach. Tyle że

zimniej i wyżej". A jak wyobrazić sobie wspinaczkę wielkościanową? Wisimy przez kilkanaście dni na pionowej ścianie i przesuwamy się po kilkadziesiąt metrów dziennie. Śpimy w podwieszanych namiotach, które trzęsą się przy każdym ruchu. To jest nierealne, dla wielu osób niewyobrażalne, ale może dlatego też pociągające swoją nietuzinkowością. Nie żałuję, że nie obserwuje mnie wiele osób. Wspinanie wielkościanowe nie idzie w parze z poklaskiem, sławą i pieniędzmi, ale może dlatego wyraźniej czuję i delektuję się smakiem pasji, buntu i kontestacji. Dzięki nim trzymam się z dala od konformizmu i czuję, że żyję w pełni.

We wrześniu 2017 roku wydałeś książkę „Zapisany w kręgach". Może dzięki niej łatwiej będzie odróżnić was, wielkościanowców, od himalaistów?

– Z pewnością, chociaż to nie był mój główny cel, to nie jest typowa książka górska. Chciałem napisać rzecz o górach, która nie byłaby o górach. Pokazać człowieka wspinającego się, jego los, ale w rozumieniu daleko wykraczającym poza wspinaczkę. Góry i wspinanie to wielki temat, ale łatwo go zbanalizować, sprowadzić do wbijania haków i potu kapiącego z grzywki. Pisałem ją przez siedem lat i przez ten czas przestałem czytać górską literaturę. Chciałem złamać jej kanon, odciąć się od wpływów. Przyjąłem dwie zasady: po pierwsze, nie piszę książki historycznej, przyjaźnie nie oznaczają, że wszyscy muszą się w tej opowieści znaleźć. W tekście jest wiele przypowieści, symboli, odwołań do mitów, muzyki, filmów, teatru. Po drugie, nie piszę książki o sobie.

Francuska filozofka Simone de Beauvoir mawiała, że łatwo zacząć pisać o sobie, ale trudno skończyć. Postanowiłem więc zejść na dalszy plan, pozwalając czytelnikowi odnaleźć w mojej historii cząstkę własnego życia, doświadczeń, marzeń.

Jak wcześniej zarabiało się na wyprawy?

– Dzięki przynależności do klubu wysokogórskiego można było się załapać na roboty wysokościowe. Średnia pensja pracownika biurowego w Polsce na początku lat 80. wynosiła 20-30 dolarów miesięcznie. Za mało, by wyjeżdżać za granicę. Tyle samo można było zarobić w ciągu jednego dnia, malując kominy. Niektórzy pojawiali się w klubach, mówiąc, że potrzebują pracy, bo zbierają na wyjazd w Alpy, ale po wypłacie zamiast biletów kupowali telewizory, lepsze meble, samochód.

Ta historia, chociaż w trochę innej wersji, wróciła do mnie w USA. Konduktor w pociągu, widząc moje wory ze sprzętem, odgadł, że jadę się wspinać, bo kiedyś sam jeździł w Yosemity. Wtedy nie miał pieniędzy, a na wielkich ścianach trzeba je mieć, bo kilogramy sprzętu kosztują. „Zostałem więc konduktorem i zaraz potem kupiłem sobie psa" – powiedział. „Później kupiłem samochód i wziąłem kredyt na dom, więc musiałem zarabiać, żeby to spłacić. Zacząłem być konduktorem i to jest koniec mojej historii – jestem nim do dziś". Znałem tę opowieść, to mantra setek ludzi z klubów wysokogórskich, którzy zarabiali na wyjazdy, a wydawali na lepsze życie.

Ja, w czasie gdy komunizm zaczął upadać, wykorzystywałem np. istnienie dwóch taryf celnych. Jedne były dla firm, drugie dla osób prywatnych. Firmy płaciły wysokie cło, prywatne osoby nic nie płaciły. Przywoziłem z Niemiec 10 magnetowidów i zgłaszałem, że są do prywatnego użytku, a potem sprzedawałem je w komisie. Robiłem to co tydzień. Nikt się nie czepiał. Ludzie w tym czasie jeździli do Berlina i sprzedawali masło na ulicy. Handel kwitł. Dopiero Balcerowicz swoimi ustawami wprowadził jedno prawo celne dla wszystkich. Moja firma padła i zająłem się sprzedażą

sprzętu turystycznego. Nie wyszło. Zostałem bez pieniędzy. Nagle zobaczyłem upływ czasu i realia systemu kapitalistycznego – miałem 43 lata i kolejny raz spadałem na dno. Nie spałem, przejmowałem się, że zawiodłem siebie i rodzinę. Załamałem się psychicznie. Kupiłem bilety do Anglii i wyjechałem znaleźć pracę. Po 18 latach przerwy, w 2006 roku, wróciłem też do poważnej wspinaczki.

Co ona ci daje?

– Nie ma jednej odpowiedzi. Za każdym razem wspinam się z innymi potrzebami. Piękno tego sportu polega na tym, że zawsze istnieje taki rodzaj wspinaczki, który odpowiada ci w danym momencie, pomaga żyć i zrozumieć pewne sprawy. Na wschodniej ścianie Ship's Prow zrozumiałem, że umiejętność wspinaczki jest darem, który trzeba w sobie pielęgnować. Bez niego nie znalazłbym się w tamtym miejscu. Jeśli nie poddasz się swoim schizom, myśleniu o wspinaczce jak o cierpieniu, zorientujesz się, że daje ci dużo dobrego. Nie odbiera, nie rujnuje.

I wtedy jesteś w stanie znieść cierpienie?

– Nie ma cierpienia. Zaprzeczam jego istnieniu. Cierpienie jest ułudą.

A minus 50 jak na Ziemi Baffina?

– Tak, to trochę męczące. Ale jak wchodzisz po schodach i dostajesz zadyszki, mówisz sobie, że to ostatni raz. Później znów wchodzisz, bo w domu czeka herbatka.

W górach nie cierpię, nie jadę się tam umartwiać. Niewygoda jest częścią gry i akceptuję ją.

Nie chcę się kreować na herosa, który z gołą klatą przyjmuje minus 50 stopni Celsjusza. Oczywiście, że trudno jest wytrzymać, ale nie jęczę. Musi to komicznie wyglądać, gdy wisisz kilometr nad ziemią na pionowej ścianie, wiatr szamocze namiotem, a ty się śmiejesz, podziwiasz widoki, wpatrujesz się w ślady niedźwiedzi i cieszysz wolnością.

Co wspinaczka zabiera z życia?

– Definiuję ją jako źródło dobra, a nie zła. Nie wydaje mi się, że dobro powinno być opłacane poświęceniem. Wspinaczka jest darem, z którego czerpiemy. Nie mam poczucia, że wspinanie odziera mnie z czegokolwiek, że muszę złożyć jakąś daninę.

Poświęcenie nie musi być twoje. Co z rodziną?

– Zawsze się mówi, że wspinaczka jest bardzo egoistycznym zajęciem, i dużo w tym prawdy. Kiedy rozmawiamy o wspinaczce w domu, staram się tłumaczyć: „Moje decyzje nie są wymuszone, kiedy postanawiam, że idę albo nie idę się wspinać, muszę mieć pewność, że ta decyzja jest moja i właściwa, i wtedy jej nie żałuję". Jeśli wyłączam budzik i odpuszczam wyjście, nie jadę na wyprawę, to jest to moja decyzja, ruguję ze swojego sposobu myślenia kategorię poświęcania pasji na ołtarzu rodziny. Jeśli myślałbym, że się poświęcam, to po latach mogłaby narosnąć pretensja, że z powodu rodziny nie robię czegoś, co mnie pasjonuje. I nieważne, czy to wspinaczka, gra w szachy, grzebanie w samochodzie. Pretensja jest ta sama.

Kiedy żona chce iść do kina, a ty wolisz grzebać w samochodzie, nie powinieneś iść z nią do kina z poczuciem krzywdy – albo wróć do samochodu, albo zamknij klapę silnika i ciesz się wyjściem do kina.

Kiedy rodzą się dzieci, nie obwiniaj ich o to, że nie możesz robić kariery. Nie zrobiłem i co? Nigdy nie miałem żalu do rodziny ani pokusy, by go mieć, aby obwiniać rodzinę o to, że się nie wspinam.

Większość książki jest o okresie, gdy nie byłem wspinaczem. To był okrutny czas, doły, góry, zaczynałem wszystko od nowa, nie miałem gdzie spać. Te historie są częścią mnie, nie wyobrażam sobie siebie bez nich. Jeśli chcesz więc znać cenę wspinaczki, zapytaj o nią moje córki, może one myślą inaczej ode mnie, może opowiedzą ci o swoim poświęceniu. Ja nie poświęcam rodziny dla wspinania czy też wspinania dla rodziny – po prostu żyję.

Wspinasz się od prawie 40 lat. Nie znudziło ci się?

– Nie, bo mam odskocznię. Piszę, fotografuję, pracuję. Wspinanie jest ważnym elementem życia, ale nie jedynym.

Dużo mówisz o przyrodzie, dla sponsorującej cię Patagonii ochrona natury jest bardzo ważna. Pracujesz na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Nie czujesz rozdźwięku? W końcu platformy wysysają z ziemi ropę.

– Na początku myślałem, że przykładam rękę do zatruwania środowiska. Miałem wyobrażenie, że platforma wylewa ropę do morza, ale okazało się, że świadomość ekologiczna wszystkich pracowników jest bardzo wysoka, a przepisy ochrony przyrody – rygorystyczne. Oczywiście wycieki się zdarzają. Wiem jednak, że dla rozwoju ludzkości korzystanie z ropy jest konieczne, a moje niepracowanie na platformach byłoby podobne do postawy proekologicznej, która zakłada niejeżdżenie samochodami czy innymi środkami komunikacji. W Szkocji testuje się teraz platformy, które pozyskują energię z ruchu fal. Może to przyszłość? Regularnie segreguję śmieci, nie wyrzucam jedzenia, nie marnuję wody. Nie

wymieniam garderoby co sezon, a stare ciuchy przekazuję dalej. Jednocześnie pracuję na platformach, bo dla mnie to jedyna droga, żeby móc się wspinać i normalnie żyć.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Andrzej Bargiel. Najszybszy polski himalaista

Mit cierpiętniczy w polskim himalaizmie często bierze się z tego, że większość himalaistów to nie są sportowcy. Rozmowa z himalaistą Andrzejem Bargielem.

ŁUKASZ DŁUGOWSKI

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA GAZETA

Andrzej Bargiel jest himalaistą i narciarzem wysokogórskim (skialpinistą).

ŁUKASZ DŁUGOWSKI: W tym roku (2016) w rekordowym czasie 29 dni zdobyłeś Śnieżną Panterę, czyli pięć siedmiotysięczników leżących na terenie byłego ZSRR. Jesteś rekordzistą świata w biegu na Elbrus (3 godziny i 23 minuty) i w wejściu na Manaslu, ośmiotysięcznik w Himalajach (14 godzin i 5 minut). A do tego mówisz, że góry wysokie wcale nie są takie trudne. Chcesz wywrócić polski himalaizm do góry nogami?

ANDRZEJ BARGIEL: Nie mam takiego zamiaru.

Ale w jednym z wywiadów mówisz, że wokół polskiego himalaizmu narósł mit. Jaki?

– Gdy byłem bardzo młodym człowiekiem, wydawało mi się, że himalaizm to coś strasznego. Taki obraz wyrobiłem sobie na podstawie filmów. Jest ci zimno, cały czas masz zadyszkę, robisz trzy kroki i zatrzymujesz się, żeby złapać oddech. Walczysz o życie, żeby przetrwać i nie zostać w górach. Do tego środowisko himalaistów jest małe, elitarne, trudno się do niego dostać. Ale już na dwóch pierwszych wyprawach na ośmiotysięczniki: Manaslu i Lhotse, zobaczyłem coś zupełnie innego. Spodziewałem się megaciężkiego pobytu w bazie przez dwa miesiące. Że trzeba będzie gotować, wspinać się w ekstremalnych warunkach, zakładać kolejne obozy. Okazało się, że bazę budują agencje turystyczne, jest tam stołówka i kuchnia, gotuje kucharz, każdy ma swój namiot i jaki taki komfort. Nikomu krzywda się nie dzieje i nawet można odpocząć. Książki poczytać, telefonów i maili nie odbierać. Całkiem spoko życie. Na pierwszej wyprawie nie wszedłem na szczyt, zostałem zawrócony z 7600 m – kierownik kazał schodzić, bo ekipa nie miała już sił. A jeśli chodzi o mnie, nie chciał, bym samotnie zdobywał szczyt, bo uznał, że byłem za młody i niedoświadczony. Zupełnie tego nie żałowałem. Nie czułem, że doznałem porażki.

Nie zależało ci na szczycie?

– Zależało, ale to była dla mnie przede wszystkim przygoda. Cieszyłem się, że mogę jeździć na nartach w tak pięknym miejscu. Nie traktowałem tego jak olimpiady. Z kolei podczas drugiej wyprawy, na Lhotse, było ciśnienie, żeby wejść za wszelką cenę. Za pomocą jakichkolwiek narzędzi, w tym wykorzystując ludzi. Dla mnie to nie był sport. Jeżeli korzystasz z Szerpów, którzy noszą ci

plecaki, to nie jest wspinaczka. Dlatego przestałem jeździć na te wyprawy.

Jeśli nie wspinaczka, to co – turystyka?

– Na Lhotse był młody, dwudziestokilkuletni Szerpa. Do 6,5 tys. m latał w dżinsach, ray-banach i kręcił sobie filmiki z iPhone'a. Idziemy, a on nagrywa: „Jesteśmy w obozie pierwszym, słoneczko świeci, a ze mną są turyści z Polski...". A tu Hajzer, himalaiści, duma narodowa...

...i polska martyrologia?

– To było zupełnie inne spojrzenie.

Czemu obraz polskiego himalaizmu cały czas opiera się na eksponowaniu cierpienia i zmagania z nadludzkimi przeciwnościami?

– Za komuny mieliśmy najlepszych himalaistów na świecie, oni wtedy rzeczywiście eksplorowali góry, przełamywali kolejne bariery, robiąc bardzo trudne przejścia, a przy tym używali megaprymitywnego sprzętu. To było naprawdę niesamowite. Ale nie doszło u nas do zmiany pokoleniowej. Ci sami ludzie, którzy zdobywali Himalaje w PRL-u, w dużej mierze zdobywają je nadal, wśród nich jest m.in. Ryszard Pawłowski, który organizuje wyprawy komercyjne, czy Darek Załuski, który wspiera wyprawy narodowe. Dziś to 60- i 50-latkowie. Brakuje nam dobrze wytrenowanych młodych ludzi, którzy będą mieli inne spojrzenie na wyprawy, inny pomysł na ich przygotowanie, technologię i sprzęt, inną świadomość własnego organizmu. Wszystko poszło do przodu, a my mentalnie zdobywamy te góry jak w PRL-u.

Co konkretnie poszło do przodu i w jakim kierunku?

– Na świecie zdobywa się trudne ściany, niekoniecznie ośmiotysięczne. To jest bardzo duża wartość sportowa. Za wejścia zimowe nie przyznaje się złotego czekana. W tym momencie wejście na ośmiotysięcznik nie jest już wyczynem sportowym. Wynajmujesz agencję trekkingową i wchodzisz. Ten mit cierpiętniczy często bierze się z tego, że większość himalaistów to nie są sportowcy. Dla przeciętnego człowieka przeżycia podczas takiej wspinaczki są bardzo intensywne, po prostu bardzo się tam męczy. Przy obniżonej zawartości tlenu w powietrzu, odwodnieniu i ekstremalnym zmęczeniu może czuć, że jest na granicy wytrzymałości. Że doprowadził organizm do sytuacji ekstremalnej.

A jak na 8 tys. m zachowuje się sportowiec?

– Najważniejsze jest to, że bardzo dobrze zna ograniczenia swojego organizmu.

Wniosek nasuwa się sam: w ramach programu Polski Himalaizm Zimowy na wyprawy powinni jechać tylko ludzie odpowiednio przygotowani i wytrenowani?

– Ciężko komukolwiek zabronić wspinania się. Ale na pewno większość polskich himalaistów nie trenuje profesjonalnie i nie są to sportowcy wyczynowi. Powód jest prosty: nie mamy żadnych struktur i finansowania. Jeżeli trenujesz od dzieciństwa i robisz to systematycznie, organizm zupełnie inaczej funkcjonuje, masz dużo większą wydolność. Tam, gdzie amator stanie i powie: dalej nie idę, ty nawet nie zakaszlesz. Szybkie tempo poruszania się i dobra kondycja wpływają też na bezpieczeństwo i świadomość tego, co robisz. Na szybkie podejmowanie decyzji i minimalizowanie ryzyka. Jeśli jesteś szybki, możesz uciec przed załamaniem pogody, nie

spędzasz dużo czasu w warunkach, które są zabójcze. Nie bez powodu w przypadku ośmiotysięczników mówi się o strefie śmierci. Jeśli jesteś szybki, nie doprowadzasz organizmu do granic wytrzymałości i przez to możesz czerpać więcej przyjemności ze wspinaczki. Dla mnie to jest w porządku, że ludzie chcą się realizować i wyjeżdżają w góry. Ale nie podoba mi się, że robią to nieprzygotowani. Nie mają umiejętności technicznych ani doświadczenia. To generuje wypadki i akcje ratunkowe, w których inni wspinacze muszą brać udział i sami narażać się na niebezpieczeństwo.

Spotkałeś się z taką sytuacją?

– Wiele razy. Latem tego roku, podczas zdobywania Śnieżnej Pantery, na Piku Lenina (7134 m n.p.m.) spotkałem Kanadyjczyka, który szedł z kijem bambusowym. Powiedział, że to jego zabezpieczenie przed wpadnięciem do szczeliny lodowcowej. A jak wpada, dzięki temu kijowi wychodzi.

To nie jest tylko problem wspinaczy amatorów, ale też profesjonalistów. Po tragedii na Broad Peaku Janusz Onyszkiewicz, ówczesny szef Polskiego Związku Alpinizmu, powiedział mi, że wspinacze nie potrzebują rozmów z psychologiem i weryfikacji wytrzymałości. A Krzysztof Wielicki przyznał, że kondycji jego i Macieja Berbeki nie sprawdzano, bo po co.

– Bo oni mieli wtedy największe doświadczenie ze wszystkich himalaistów w Polsce. Brakuje ludzi z nowoczesnym podejściem do himalaizmu. Artur Hajzer próbował to zmienić, tworząc program Polski Himalaizm Zimowy, wyszkolić himalaistów, którzy będą dla nas zdobywać ośmiotysięczniki, wprowadzać badania, treningi, ale

nie wyszło. Słabością tego projektu, o czym głośno mówiłem, także Arturowi, było to, że angażował półamatorów, a nie rasowych wspinaczy. Ideałem byłoby wynajdywać młodych ludzi, którzy się świetnie wspinają, nawet w skałkach, i przez kilka lat szkolić ich w Tatrach, Alpach i Kaukazie. Budować ich doświadczenie. To później przekłada się na działanie w górach wysokich. Tam, na klasycznych drogach, nie jest bardzo trudno. Jest po prostu wyżej i mniej tlenu, ale poziom trudności może być ten sam co w Tatrach. Człowiek, który się wspina, trenuje, wychowuje w górskim środowisku, ma wykształcone pewne nawyki, instynkty. Jeśli znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji, na chłodno oceni, jakie jest zagrożenie, i mając świadomość tego, co potrafi, podejmie decyzję. W profesjonalnym sporcie nie ma miejsca na partyzantkę, że każdy robi swoje i nie obchodzi go grupa. Wyjeżdżamy razem i wracamy razem. Jestem odpowiedzialny za wszystkich uczestników.

Czułeś na wyprawach PHZ taki profesjonalizm?

– Dobrze je wspominam, było na nich miło. Ale w PHZ nie było długofalowego planu działania. Był od wyprawy do wyprawy. Obserwowałem pewne mechanizmy, które mnie niepokoiły. Np. uczestnikami tych wypraw byli młodzi ludzie, którzy nie mieli poważnych osiągnięć. Takiego człowieka nie powinno się wysyłać na ośmiotysięcznik. Każdy z nich chciał się tam pokazać z dobrej strony, bo miał świadomość, że jeżeli się nie wykaże, to może być to jego ostatni wyjazd. A to po prostu może generować niebezpieczne sytuacje. Ci ludzie nie jeździli ze sobą wcześniej na obozy, nie znali się, nie mieli świadomości tego, co kto potrafi. Spotykali się na godzinkę przed wyprawą i potem na lotnisku. Ciężko stworzyć ekipę doświadczonych himalaistów, potrzeba na to

lat. Ale Artur mówił, że nie ma na to czasu, że inni nas wyprzedzą. Chodziło o to, żeby Polacy byli pierwsi.

Alternatywa jest taka, że będziemy wysyłać nieprzygotowanych ludzi, którzy będą ginąć tak jak na Broad Peaku.

– Ja nie wziąłbym odpowiedzialności za nieprzygotowaną ekipę. Bałbym się. Na pewno mamy kilku himalaistów, którzy są bardzo dobrzy: Janusz Gołąb, Adam Bielecki, Artur Małek. Ale to za mało, by zdobyć K2 zimą.

Co sądzisz o ekipie, która pojechała na feralny Broad Peak? Czy to byli nieprzygotowani ludzie?

– Na pewno byli przygotowani najlepiej, jak potrafili. Ale czy wystarczająco? Nie wiem tego na pewno. To nie był wieloletni proces, bo nie było struktury, która by im to umożliwiła.

Jak ty się przygotowywałeś przed zdobyciem Śnieżnej Pantery? Byłeś badany przez lekarzy, psychologów?

– Trenuję wiele lat. Mam wokół ludzi, którzy są specjalistami w różnych dziedzinach sportu. Sam mam też bardzo dużo doświadczenia w trenowaniu własnego organizmu. Przed Panterą miałem badania wydolnościowe, sprawdzali moje osiągi i to, czy jestem zdrowy. Mam trenera, Piotra Sadowskiego, który rozpisuje mi plan treningowy pod konkretną wyprawę. Codziennie się ruszam: biegam po górach, a w sezonie jeżdżę na nartach. Trzy miesiące przed wyprawą zaczynam trenować według planu. Wtedy ćwiczę 4-5 godzin dziennie. Dla mnie to podstawa, od tego zależy moje bezpieczeństwo i realizacja celu.

I jak było z kondycją w tym roku, podczas zdobywania Śnieżnej Pantery?

– Z 50 dni, które trwała ta wyprawa, osiem byłem w górach. Wszedłem wtedy na pięć siedmiotysięczników, ze wszystkich zjeżdżałem na nartach do granicy śniegu. Z jednego zjechałem na jednej narcie, bo druga mi się wypięła i spadła w przepaść. Po zdobyciu jednego szczytu przylecieliśmy helikopterem do bazy pod drugim. Szef bazy powiedział, że wejdę albo za parę godzin, albo za tydzień, bo idzie załamanie pogody. Nikomu się nie chciało czekać, wszyscy byli zmęczeni i chcieli wracać do domu. Wszedłem w 7,5 godziny, pokonałem 3,5 tys. m w pionie. Niektórzy w bazie nie zdążyli mnie zobaczyć, a ja już byłem po szczycie. Wypracowaliśmy szacun, bo na początku, ze względu na to, że towarzyszyła nam ekipa telewizyjna Canal+ Discovery kręcąca dokument o moich wejściach, patrzyli na nas z pobłażaniem.

W 2010 roku pobiłeś rekord w biegu na Elbrus Race. Jak to wyglądało?

– To był wyjazd w ramach PHZ. Z Polski pojechaliśmy tam pociągiem, na miejscu jedliśmy zupki chińskie, spaliśmy w namiotach, budżet na głowę: 1000 zł na 10 dni. A tam profesjonalnie przygotowane ekipy z innych krajów, m.in. z trenerami. Czekając na bieg, w ramach aklimatyzacji dwa razy wszedłem na szczyt na skiturach. W pięć godzin zrobiłem 3350 m w pionie. Bieg miał być odwołany, bo spadło śniegu po kolana i strasznie wiało. Ostatecznie jednak zawody się odbyły, a ja miałem na tyle dobre tempo, że wbiegłem na szczyt, zanim dotarli na niego sędziowie. Pomogłem im rozstawić namiot, w którym można było się przebrać i napić ciepłej herbaty. Jak z tym skończyliśmy, musiałem zrobić powtórkę i przejść ostatni odcinek jeszcze raz, bo

mieli coś z tego nakręcić. O pół godziny pobiłem rekord himalaisty Denisa Urubki z 2006 roku.

Trenujesz, wbiegając na Kasprowy?

– Mieszkam w Zakopanem, w ramach treningów co jakiś czas wbiegam z Kuźnic na Kasprowy Wierch. Żeby oszczędzać kolana, zjeżdżam kolejką na dół i znowu wbiegam. Kiedyś wbiegam – wszyscy na szlaku mi się przyglądają. Później wbiegam drugi raz i ci sami ludzie patrzą na mnie z niedowierzaniem. Jak mijam ich trzeci raz, to już wydaje im się, że coś z nimi nie tak.

Skąd ta twoja wytrzymałość?

– To nie jest nic nadzwyczajnego, można ją wypracować. Wystarczy wiele lat trenować i wtedy to się odbywa naturalnie. Jak z każdym innym sportem, jeżeli poświęcasz na niego czas i jesteś systematyczny.

Kiedy zacząłeś trenować?

– Za dzieciaka. Mieszkałem z rodzicami na wsi, w Łętowni koło Jordanowa w Małopolsce. Rodzice mieli małe gospodarstwo, w którym nie było maszyn i praktycznie wszystko trzeba było robić ręcznie. Trawę kosić, ziemię orać, sadzić, zbierać. To była ciężka robota, ale też dobre wprowadzenie do sportu, które wpłynęło na moje osiągi. W ramach treningów biegałem wokół wioski, nawet po kilkaset kilometrów tygodniowo. Czasami wybiegałem nocą do Myślenic, 50 km. Miałem taką zajawkę, że jak nie poszedłem ćwiczyć, to źle się czułem. Raz obudziłem się o drugiej w nocy i miałem wyrzuty sumienia, że nie poszedłem na trening. Nie dałem rady zasnąć, więc wstałem pobiegać. To było bardzo prymitywne, bo mimo że dużo trenowałem, nie miałem żadnej diety ani

odnowy biologicznej, żeby się zregenerować. Mój organizm bardzo się męczył. Ale czerpałem z tego dużo radości. Tylko tych prac polowych nie lubiłem. Poza tym to było uciążliwe. Wkurzałem się, że codziennie powtarzam te same czynności. Czułem, że to nie jest rozwojowe i nigdy nic z tego nie będzie. Więc często gdzieś się zawijałem, moje rodzeństwo zresztą też. Siostra, uciekając przez okno, złamała rękę czy nogę. Jak masz dziesięcioro rodzeństwa, to różne rzeczy się dzieją. My w ogóle nawzajem się wychowywaliśmy. Nikt nas nie odwoził do przedszkola, mimo że to były 3 kilometry. Jako siedmiolatek brałem za rękę młodszą siostrę i sam ją odprowadzałem. Czasem jeździliśmy stopem. Ludzie szybko kumali, że to my, i często nas zabierali. Albo zimą wracaliśmy zamarzniętą rzeką, która płynęła wzdłuż drogi. Jak byłem młodszy, to na sankach zajeżdżałem do szkoły, a potem to już na nartach.

Rodzice sport popierali?

– Miałem ciężką relację z ojcem, bo on uważał, że sport to jest marnowanie czasu. Chował mi narty, nie pozwalał wychodzić na treningi. W ubiegłym roku przyjechałem z wyprawy, dzwonię do domu, a on mówi: „Wróciłeś już z tych wycieczek? Przyjechałbyś do domu i pomógł, tyle roboty jest". Któregoś razu przyjechałem tydzień po operacji barku – jeździłem na Słowacji, po długim locie na nartach przy lądowaniu złamała się narta i spadłem kilkaset metrów, na rok zabroniono mi wyczynowo uprawiać sportu – a ojciec powiedział, żebym rąbał z nim drzewo.

Tą operowaną ręką?

– Nie, na szczęście lewa była operowana. Na wsi ludzie nie przejmują się takimi rzeczami. Skoro żyjesz, znaczy, że możesz pracować. Ale ten kontrast też jest fajny, lubię go. Bo w domu nie

muszę opowiadać o tym, co się działo w górach. Mogę tam pojechać i po prostu odpocząć.

A mama?

– Mama jak to mama, martwi się. Są msze w kościele u mnie w wiosce.

Za?

– Żebym wrócił. Mama je organizuje i jak wracam, mówi, że powinienem pójść do kościoła podziękować. Rodzice są dość konserwatywni i uważają, że do kościoła trzeba chodzić. Kiedyś to był dla nas duży problem. Wracaliśmy ze szkoły 3 km, a potem musieliśmy jeszcze na msze, np. na majówki. Dziennie robiliśmy 12 km. Tylko był problem z butami, bo szybko je zdzieraliśmy.

Skąd miałeś pierwsze narty?

– Od dziadka, który jeździł na nich w dzieciństwie, kilkadziesiąt lat wcześniej, po górkach wokół Łętowni. Leżały na strychu, turbo stary model. Były skorodowane, wypadały z nich śrubki. Żeby zamontować wiązania, musiałeś wywiercić dziurę, nie miałem wiertarki, więc wymyśliłem taki patent, że wbijałem gwoździe, wyciągałem je i w te dziury wkręcałem śrubki. Żeby lepiej siedziały, wciskałem w te dziury zapałki. Miałem 7-8 lat, więc to była straszna kombinatorka. Później za rakietki do ping-ponga i scyzoryk wymieniłem się z sąsiadem na narty. Te z kolei były za długie, miały 190 cm, i musiałem je pół metra przyciąć piłą. Buty też były za duże, 44 numer. To były czasy, kiedy był już dostępny dobry sprzęt, ale nie mogłem sobie na niego pozwolić. Byliśmy wielodzietną rodziną, mam siedem sióstr i trzech braci, w domu było raczej biednie.

Wstydziłeś się tego?

– Nikt o tym nie myślał. Naszymi sąsiadami były dwie rodziny wielodzietne, też im się nie przelewało. Ale to było niesamowite, że w latach 90. tak naprawdę liczyło się tylko to, by móc coś robić. W ogóle nie zastanawiałeś się, czy masz coś modnego, kolorowego, czy masz nowe narty, czy 100-letnie. Teraz jest presja mody, co roku nowy model. Producenci sprzętu hodują sobie klientów od najmłodszych lat.

Mieliście przygotowane trasy?

– Nie, sami robiliśmy. Bokiem podchodziliśmy z kolegami pod górkę pod domem, ubijając w ten sposób śnieg. Budowaliśmy skocznie, robiliśmy slalomy, czasem nawet wycinaliśmy las, żeby móc szybciej jeździć. Górki były całkiem spore, w erze Adama Małysza skakaliśmy po 25 m, i to na tym amatorskim sprzęcie. Później, koło 2002 roku, na chwilę pojawiło się kolarstwo górskie. Niestety, zepsuł mi się rower, nie było mnie stać na nowy i musiałem zrezygnować. W 2004 roku mój brat Grzesiek, narciarz i ratownik TOPR-u, pokazał mi skitury. Zabrał mnie na swój dyżur do Białki Tatrzańskiej, żebym pojeździł, i po pierwszym razie stwierdziłem, że będę trenował w klubie Tatra Team. Drugi raz na skiturach i już brałem udział w zawodach, w Memoriale Piotra Malinowskiego.

Wtedy mogłeś już trenować jak profesjonalista?

– Nie. Nadal robiłem to sam, amatorsko. Dużo biegałem, na początku w trampkach, co nie było zdrowe. Miałem proste cele i marzenia: żeby mieć dobre buty, zegarek. Nie miałem nawet saszetki na bidon, niczego. Brałem butelkę w rękę, jabłko do kieszeni i sobie biegałem. Profesjonalny zegarek dla biegaczy udało

mi się załatwić po roku czy dwóch, na starty w zawodach pożyczałem sprzęt. Kiedy od pierwszego sponsora dostałem kurtkę i narty, to był szał. Ale to też nie był sprzęt najwyższej klasy, narty np. regularnie się łamały i przez to przegrywałem zawody. To, że tyle osiągnąłem i doszedłem do takiego poziomu, chyba zawdzięczam tylko temu, że mocno wierzyłem w to, co robię.

Kiedy wygrałeś pierwsze poważne zawody?

– W wieku 17 lat wygrałem Puchar Polski w skialpinizmie z seniorami. Startowałem nieoficjalnie, bo byłem za młody, ale po prostu nie miałem z kim się ścigać w młodszych kategoriach. Chcieli mnie wtedy z reprezentacji wyrzucić.

Za co?

– Za to, że łamię przepisy. Zamiast zobaczyć, że jest jakiś talent i warto z nim coś zrobić, to kładli jeszcze kłody pod nogi. Wkrótce zająłem III miejsce w Pucharze Świata w kategorii juniorów. To był dowód na to, że mogę uprawiać ten sport na najwyższym poziomie. Ale nadal trenowałem amatorsko. Mimo że byłem członkiem kadry narodowej, nie było funduszy i systemu, który pozwoliłby profesjonalnie trenować. Nie miałem żadnego zaplecza. Żeby było taniej, jeździłem na zawody z przypadkowymi ludźmi: Słowakami, Czechami. Prawie że autostopem. Nie miałem kasy, żeby przyjechać wcześniej, zaaklimatyzować się, przygotować, więc zjawiałem się na ostatnią chwilę, dzień przed zawodami. Sam szedłem na odprawę, sam sprawdzałem trasę. Konkurowałem ze sportowcami, którzy mieli profesjonalne ekipy złożone z trenerów, serwismenów, lekarzy, fizjoterapeutów i masażystów. Byłem gotowy walczyć o medal, ale przez takie bzdury jak brak zaplecza przegrywałem.

Na przykład?

– Mistrzostwa Europy, miałem świetną formę. Już na rozgrzewce uszkodził mi się but, ale wydawało mi się, że się całkiem nie rozwali. Na półmetku trasy w swojej kategorii wiekowej byłem pierwszy, siódmy czy ósmy w kategorii seniorów. Ale but ostatecznie się złamał i tak dotarłem do mety. Byłem piąty. Przegrałem, bo nie miałem drugiej pary na zmianę. Stać mnie było na jedną, w której trenowałem i startowałem.

Na kolejnych zawodach miałem formę życia. Pojechałem prywatnie z Polskim Związkiem Alpinizmu na obóz. Po drodze zamarzł nam samochód, trzeba było naprawiać, nie mieliśmy kasy na benzynę, więc musieliśmy oszczędzać na jedzeniu, żeby nim wrócić. Wtedy mi się przelało. Straciłem wiarę w to, co robię. Ciężko pracowałem wiele lat i nagle okazuje się, że nikogo to nie interesuje, że nie mam możliwości rozwoju. Do tego doszło rozstanie z dziewczyną i śmierć mojego dziadka, wszystko mi się posypało.

Ale spotkałeś Artura Hajzera.

– W 2010 roku pojechałem z nim wziąć udział w biegu na Elbrus, potem Artur próbował mnie namówić na wyprawę na Makalu w 2011, na którą się nie zdecydowałem. Na kolejne – Manaslu i Lhotse, już tak. Ale nie traktowałem tego poważnie. Tym bardziej kiedy na miejscu zobaczyłem, jak to funkcjonuje.

Jak?

– Dużo siedzenia w namiocie, mało działania w górach, ktoś ci mówi, kiedy możesz ruszyć do góry, kiedy zejść, czy masz atakować szczyt, czy nie. Korzystasz z pomocy Szerpów przy rozwieszaniu lin poręczowych, stawianiu obozów, przygotowaniu drogi, ale potem, kiedy zdobywasz szczyt, w ogóle o nich nie wspominasz. Co

ważniejsze, podczas tej wyprawy jeden Szerpa zginął, a drugi się odmroził. Wspólnie z Szerpami organizowałem akcję ratunkową.

Co się stało?

– Nasza ekipa spowodowała ten wypadek. Przyszedłem na Przełęcz Południową (7900 m), wchodzę do namiotu, a tam wszyscy, Szerpowie i wspinacze, nieprzytomni – wychłodzeni, wyczerpani zimnem i wiatrem. Mówię im, że schodzimy na dół, ale wyszło słońce i nasi wspinacze stwierdzili, że jednak zostaną i zaatakują szczyt następnego dnia. Szerpowie już wtedy źle się czuli i wdychali tlen z butli. Powinni zejść, ale bali się, że stracą pracę. Zszedłem do bazy pod Lhotse i kolejnego dnia znowu musiałem podejść na 7000 m, Szerpowie byli już w fatalnym stanie. Jeden z nich podczas sprowadzania spadł 1000 m i zginął, drugiego udało mi się ściągnąć do bazy i podać leki. Obaj mogliby żyć i być zdrowi, gdyby nasi zrezygnowaliby z ataku. Polacy wrócili po kilku dniach, bez szczytu, cali i zdrowi, tylko wyczerpani.

Co zamierzasz robić w życiu?

– Mam dużo planów. Chciałbym zostać przewodnikiem, jestem ratownikiem TOPR i chciałbym się w to bardziej angażować. Chcę zbudować dom, mieć rodzinę i rozkręcić biznes, który pozwoli mi spokojnie żyć.

Nie będziesz himalaistą do osiemdziesiątki?

– Nie. Trzeba w odpowiednim momencie powiedzieć stop. Nie wyobrażam sobie sytuacji, że mam rodzinę, dzieci i jeżdżę na ekspedycje w Himalaje. To jest nieodpowiedzialne.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Dwadzieścia dni w ścianie

– Po kilku dniach wspinaczki i życia w ścianie mięśnie, które cały czas pracują, puchną. Przyciskają żyły. Są niedokrwione. Budzimy się bez czucia. Boli nas wszystko. Poranek zaczyna się więc od jęków i stękań dwóch starszych panów, którzy śpią w podwieszonym namiocie. Rozmowa z Marcinem Tomaszewskim o wspinaczce na Great Trango Tower w Pakistanie.

DOMINIK SZCZEPAŃSKI

FOT. ARCHIWUM MARCINA TOMASZEWSKIEGO
Marcin Tomaszewski i Marek Raganowicz na Great Trango Tower w Pakistanie.

Poprowadziłeś nową drogę na Great Trango Tower. Dlaczego wybrałeś akurat tę ścianę?

– Bo to największa prawie pionowa ściana świata.

Jej czar nie polega na tym, że leży wysoko, bo zaczyna się na wysokości 5000 metrów, a kończy 1300 metrów wyżej. Chodzi o to, że jest ogromna. Nasza droga liczyła 1997 metrów. Spędziliśmy w zawieszeniu 20 dni. Wielkie ściany mają w sobie tajemnicę. To rodzaj podróży w nieznane. Odkrywamy tam siebie, bo nie wiemy, w jakiej sytuacji się znajdziemy i jak ona na nas wpłynie.

Jak się czułeś, kiedy pierwszy raz stanąłeś pod Great Trango Tower?

– Malutki. Nikt tam nie przychodzi z przypadku. To nie jest miejsce na wycieczki turystyczne, gdzie nauczysz się wspinaczki. Ta góra testuje najlepszych.

Jak się przygotowałeś?

– O ścianie wiedziałem tyle, ile wyczytałem w prasie branżowej. Wiedziałem, że jest tam kilka dróg wytyczonych przez Rosjan i Amerykanów. Każdy z zespołów wisiał w tej ścianie po kilkanaście – kilkadziesiąt dni. A największe problemy są pod samym szczytem. Dlatego istotą wspinaczki na Great Trango Tower jest więc rozsądne planowanie sił.

To był plan taktyczny. A fizyczny?

– Fizycznie przygotowuję się od 23 lat. Trening jest częścią mojego dnia. Tak jak jedzenie i oddychanie. Trenuję trzy-cztery dni w tygodniu. Nie przygotowuję się specjalnie do każdej wyprawy. Ale w każdej chwili, nawet teraz, kiedy siedzę na kanapie w domu, byłbym w stanie wstać, wziąć sprzęt i pójść na każdą górę, którą mam w planach. Czuję szczyt formy.

Kiedyś skupiałem się mocno na dietach, katorżniczym treningu, co powodowało, że po jakimś czasie czułem się wypalony i musiałem więcej odpoczywać. W znalezieniu rozwiązania pomogła mi babcia, która powiedziała: „Jedz, Marcin, będziesz miał siłę". Przez siedem lat nie jadłem mięsa, ale po słowach babci zacząłem. Więcej trenowałem, ale też więcej spalałem. I traciłem wagę. Bilans więc był podobny poza jedną różnicą – byłem silniejszy. Każdy kilogram

wspinacz musi ciągnąć na palcach. Im więcej ważymy, tym łatwiej jest nam złapać kontuzję.

Niestety, nie należę do wspinaczy, którzy mało ważą. Nie mam tłuszczu, ale jestem bardzo dobrze zbudowany. Jako dziecko trenowałem wyczynowo dżudo, więc kiedy zacząłem się wspinać, to moim celem nie było tracenie tych mięśni, tylko zgromadzenie takiej siły, która mogłaby zagospodarować moją masę. Nie chciałem skupiać się na obniżaniu wagi, bo to powoduje, że traci się energię.

Jak przeszedłeś od dżudo do wspinaczki? To dwa inne światy.

– Jako dziecko bardzo chorowałem. Wadę serca zdiagnozowano mi, kiedy miałem pięć lat. Dwa, trzy kolejne lata spędziłem w szpitalach. Byłem samotny. To były czasy, kiedy rodzice mogli odwiedzać dzieci tylko raz na dwa tygodnie. I chyba z tej samotności zrodziła się moja samodzielność. Chciałem nad sobą pracować. Tak jak później, kiedy okazało się, że mam lęk wysokości.

Wspinacz z lękiem wysokości?!

– Kiedy podchodziłem do ścianki, bałem się wysokości. Pracowałem nad tym latami, aż w końcu któregoś dnia okazało się, że lęk zniknął.

Podobnie jak w dżudo we wspinaczce znalazłem przeciwnika, którym były moje słabości i strachy. Chęć walki, którą z rywala przerzuciłem na siebie. Góry nie są moim przeciwnikiem, są tak naprawdę obojętne. Jeśli z góry spada kamień i trafia nas w głowę, to znaczy, że mamy pecha, bo ten kamień i bez nas by tam spadł. Góry są jak lustro, w którym mogę zobaczyć swoje lęki i się z nimi zmierzyć.

22 czerwca w bazie pod Nanga Parbat zamachowcy zabili 11 osób. Wy do Pakistanu lecieliście w lipcu. Nie myśleliście, żeby odwołać wyjazd?

– Plan był taki, że jedziemy w trójkę: ja, Marek Raganowicz i David Allfrey. Ale Amerykanin zrezygnował w ostatniej chwili. Rząd Pakistanu zareagował na naszą korzyść, wzmocnił posterunki i patrole. W trakcie przejazdu przez Karakorum Highway na najniebezpieczniejszym odcinku eskortowały nas policja i wojsko.

Co zabraliście ze sobą na Trango?

– Sprzęt alpinistyczny ważył ok. 150 kilogramów. 350 metrów lin. Oprócz tego około 100 karabinków, 40 haków, 40 spitów, które się wwierca w litą skałę, różne przyrządy, które się klinuje w ścianie, czekany, raki, prowiant, kuchenki. I portaledge, czyli namiot ścianowy, w którym spędza się noce.

Jak to możliwe, że droga ma prawie 2 kilometry, a liny jest tylko 350 metrów?

– Poruszamy się tzw. kapsułami. Jedna kapsuła to odcinek pomiędzy biwakami, czyli 300-400 metrów, gdzie wieszamy liny. Codziennie pokonujemy od kilkudziesięciu do kilkuset metrów. Na najwyższym punkcie, który osiągniemy, zaczepiamy linę i zjeżdżamy do biwaku. Kiedy zakładamy wyższy biwak, to niższy pakujemy i wciągamy go wyżej.

A nie lepiej wziąć 2 kilometry liny i zaporęczować całą górę? Byłoby łatwiej przy powrocie.

– To się zdarzało w przeszłości, ale cierpi na tym styl wspinaczki. Dla nas najważniejsze jest, żeby ścianę pokonać w jak najlepszym stylu, czyli z wykorzystaniem najmniejszej ilości liny oraz sprzętu.

Poza tym odcinki, które pokonujemy, są zbyt duże, by zjeżdżać codziennie do bazy i powtarzać je każdego dnia. Najbardziej we wspinaczce pociąga mnie to, że można wejść w ścianę, zamieszkać w niej, zżyć się ze skałą. Każdego dnia czuć się jej częścią.

Jest takie powiedzenie wśród wspinaczy, że droga jest celem. I ja w to wierzę

Co się je w ścianie?

– Plan był taki, żeby jeść liofilizaty, czyli żywność, która została odwodniona w specjalnym procesie. Kiedyś wymyślono ją dla kosmonautów. Plusem takiej żywności jest to, że się nie psuje, a po zalaniu wrzątkiem staje się pełnowartościowym, smacznym daniem. Dokupiliśmy 80 yum yumów, puszki z mięsem i z serem. Liofilizaty miał ze sobą przywieźć David, ale nie przyjechał. Zostaliśmy na lodzie.

Nie mieliśmy czasu, żeby kupić żywność w Polsce, więc musieliśmy ją zdobyć w Pakistanie. Ale okazało się, że tam nie ma liofilizatów. Były za to słynne zupki chińskie – yum yumy. Kupiliśmy ich więc 80, a do tego puszki z mięsem i z serem. Nie miały tyle wartości odżywczych, więc byliśmy trochę słabsi, ale udało się.

Skąd się bierze wodę w ścianie?

– Dzienne zużycie na dwie osoby to 3-4 litry. Czyli w ciągu 20 dni zużywamy 60-80 litrów. Nie byliśmy w stanie zabrać tyle ze sobą. Najpierw więc musieliśmy dobrze obejrzeć ścianę z dołu, poszukać śladów wody i pól śnieżnych. Na pierwszy biwak zabraliśmy ze sobą wodę, bo nie znaleźliśmy żadnego źródła. Wyżej napotkaliśmy strumyk, który pojawiał się, gdy świeciło słońce. Promienie topiły fragment pola śnieżnego i pojawiała się ciecz. W górnych częściach

ściany było kilka półek z potężnymi płatami śniegu, który mogliśmy topić w menażkach.

Jak wyznaczyliście drogę?

– Mieliśmy kilka projektów ściany, ale nie wiedzieliśmy, jak to dokładnie będzie. Na zdjęciach w wielu miejscach wydawała się idealnie gładka, ale z bazy, kiedy słońce zachodziło, widać było dokładnie niektóre partie oraz formacje skalne. Załamania i pęknięcia, które na zdjęciu nie widniały. To pozwoliło teoretycznie zaplanować drogę.

Czy to nie była trochę iluzja?

– Na tej ścianie nie można ufać percepcji. Wielokrotnie nie dostrzegaliśmy rzeczywistych odległości. Ściana oszukiwała nasz mózg, była pułapką.

W drugiej połowie pokonywania drogi byliśmy już przygotowani na zjawisko fałszowania obrazu. Można się uodpornić na tę zakrzywioną percepcję.

Czuliśmy się jak skrzaty. Wokół nas grzmiała natura, wielka ściana, która żyła własnym życiem, co chwila pluła kamieniami i miała swoje cykle. Na dole było mokro i krucho, a potem ściana twardniała. Była wprawdzie wciąż krucha, ale na zasadzie łuszczącej się farby. To trudne, bo trzeba ją oczyszczać, uważać, gdzie stawia się nogę, bo łatwo można polecieć z łuską skalną. A my próbowaliśmy poprowadzić swoją drogę, która dla góry była bez znaczenia. To fajne, bo góry uczą nas pokory.

Jak wyglądał wasz dzień?

– Po kilku dniach wspinaczki i życia w ścianie, wiercenia spitów, wbijania haków budziliśmy się z odrętwiałymi rękoma. Mięśnie, które cały dzień pracują, puchną. Przyciskają żyły. Są niedokrwione. Budzimy się bez czucia. Boli nas wszystko. Musimy się rozruszać. Poranek zaczyna się więc od jęków i stękań dwóch starszych panów. Ciężka chwila. Trwa kilka minut. Pierwszy ratunek to kawa. Jesteśmy jej niewolnikami. Gdyby spadła, to zjechalibyśmy chyba do bazy. Poszło 400 gramów rozpuszczalnej. Starczyło na styk. Po kawie jemy musli, które troszeczkę nam przegniło, ale trzeba było je jeść, bo nie było wyjścia. Potem przygotowujemy się do wspinaczki.

Jak już jesteśmy gotowi, to rozpoczyna się podchodzenie do najwyższego punktu, który osiągnęliśmy dzień wcześniej, i rozpoczynamy wspinaczkę. Trwa ona przeważnie do 20, bo w takiej ścianie trzeba dobrze rozplanować siły. O 21 piliśmy już herbatę w namiocie. Przebieraliśmy się, pakowaliśmy wszystko do worków transportowych, które wisiały przypięte na zewnątrz, bo w wiszącym namiocie miejsca jest niewiele. Po nawadnianiu przygotowywaliśmy posiłek. Gotowaliśmy wodę ze śniegu, zalewaliśmy zupki chińskie, otwieraliśmy puszki i mieszaliśmy. Po posiłku był czas na małą drzemkę, do 23. Potem budziliśmy się z dużym pragnieniem. Po piciu coś słodkiego i sen do 5 rano. A potem od nowa.

Cały czas byliśmy przypięci do ściany. W ciągu 20 dni wypięliśmy się z uprzęży tylko raz, na półce pod headwallem, czyli górnym spiętrzeniem ściany.

Jak się śpi w portaledge'u? W ścianie nie było praktycznie półek, więc pod podłogą namiotu mieliście kilkaset metrów przepaści.

– Namiot ścianowy jest skonstruowany jak łóżko kanadyjskie. Na metalowej ramie jest rozpięty materiał. W środku, pomiędzy śpiącymi, są ścianki napinane do góry. Śpi się bardzo wygodnie, ale namiot działa jak huśtawka, jedno przesunięcie sprawia, że cały układ się zaburza, więc wszystkie ruchy muszą być zsynchronizowane. Wymaga to dużej uwagi na partnera, ponieważ jej brak grozi przeważeniem. Zachowanie równowagi w ścianie jest często kluczem do przetrwania.

O czym się śni?

– Sny są bardzo atrakcyjne. Śnią się skojarzenia, metafory naszych przeżyć na ścianie. Jeśli mierzyłem się z jakąś trudnością skalną, to śniło mi się, że walczę ze smokiem.

Jak komunikowaliście się z Polską?

– Co siedem dni wysyłaliśmy newsy dzięki telefonowi satelitarnemu i notebookowi. Pisałem w kilku zdaniach, co u nas. Jeden megabajt danych przesyłał się godzinę. Ręka drętwiała mi od trzymania telefonu, żeby złapać sieć.

Jak wygląda relacja między partnerami na takiej ścianie?

– Wygadujemy się dopiero wieczorem. W ciągu dnia rozmawiamy niby cały czas, ale są to krótkie komendy. Nie trwonimy czasu na pogaduszki. Z Markiem mamy dobry kontakt i rozumiemy się za pomocą kilku słów bądź tylko spojrzenia.

Co z siłami?

– Wystarczyło. Chociaż z każdym dniem wspinaczki byliśmy coraz słabsi. Brakowało pełnowartościowej żywności. Gdyby nie nasze

doświadczenie, mogłoby się nie udać. Najgorzej było podczas ataku szczytowego, kiedy byliśmy najbardziej zmęczeni.

Co czułeś, kiedy ukończyliście drogę?

– Chęć powrotu do ostatniego biwaku w ścianie, by odpocząć i schronić się przed żywiołami. W dniu ataku szczytowego było bardzo spokojnie. Do 18 nie było nawet chmur, ale o 20 zaczęło padać. Wiał bardzo silny wiatr. Mokry śnieg został ścięty przez bardzo niską temperaturę. Liny zesztywniały. Nie byliśmy w stanie nimi operować.

Jak się walczy z zamarzniętą liną?

– Łamie się ją na kolanie. Można ją chwycić jak kabel i podniesiona do góry na długości trzech metrów stoi pionowo. Taka lina uniemożliwia asekurację, zjazd i podchodzenie. Nasza była tak zalodzona, że przyrządy wspinaczkowe klinowały się na niej. Nie było szans na jakąkolwiek wspinaczkę. Szczytu nie zdobyliśmy. Drogę zakończyliśmy na grani szczytowej. Myśleliśmy tylko, żeby jakoś zjechać w jednym kawałku do ostatniego biwaku. Powrót był trochę dramatyczny. W trakcie ataku byliśmy tak ubrani, że ani przez moment nie mogliśmy stać bez ruchu, bobyśmy się odmrozili albo doznali hipotermii.

Jak zadbać o ręce w takich temperaturach? Musicie przepinać metalowe karabinki, wykonywać subtelne ruchy w płaskiej ścianie, więc grube rękawiczki nie wchodzą w grę.

– Często jednak nadchodzi moment, w którym musimy je nałożyć. W trakcie załamania pogody było około minus 10 stopni. Niby nie tak strasznie, ale odczuwanie temperatury było spotęgowane silnym wiatrem i wilgocią. Rękawiczki muszą być cienkie. Na

szczęście ktoś wynalazł primaloft, materiał, który grzeje, nawet kiedy jest mokry. Moje rękawiczki są z koziej skóry, nie są zbyt elastyczne, ale dzięki temu nie zamarzają tak łatwo. Mają ucięte palce, ale chronią dłoń. Ważne jest, by cały czas ruszać palcami dłoni i nóg. Trzeba dbać o każdy obszar swojego ciała.

Dla ciebie szczyt nie jest najważniejszy?

– Jest takie powiedzenie wśród wspinaczy, że droga jest celem. I ja w to wierzę. Szczyt nie jest najważniejszy. Istotniejsze jest to, w jaki sposób do niego dochodzimy, co przeżywamy w trakcie drogi. Można szczyt osiągnąć, wchodząc prostą drogą albo oszukując, można też w wyjątkowy sposób. Czasem się nawet tego szczytu nie zdobywa, ale dążenie do celu pozostaje w nas na długo.

Ile zjeżdżaliście?

– Dwa dni, ale już przy dobrej pogodzie.

Jak wyglądają ręce, kiedy schodzi się ze ściany po 20 dniach?

– Jakby się je przepuściło przez maszynkę do mięsa. W ścianie bardzo je kaleczymy. Na każdej dłoni mamy wiele małych ran. Niektóre goją się z dnia na dzień, inne potrzebują dłuższej regeneracji. Jeszcze inne tworzą blizny na całe życie.

A nogi? Jakie to uczucie dotknąć ziemi?

– Dziwne. Trzeba się nauczyć chodzić na nowo. Potykamy się, szuramy. Znajomi mówią: „Chłopie, wspinasz się po takich ścianach, a potykasz się na chodniku".

Dlaczego nazwaliście waszą drogę na Great Trango Tower Bushido?

– To nawiązywało do mojej pierwszej drogi, którą w 2006 roku poprowadziłem w Tatrach na Kazalnicy Mięguszowieckiej. Bushido to droga wojownika. Tamta droga była mordercza, w dwóch miejscach trzeba było się wspinać bez asekuracji. Jeden zły ruch i lecisz kilkanaście metrów, w najlepszym razie się połamiesz. Wtedy nazwę Bushido pojmowałem tak, że należy iść przed siebie, osiągnąć swój cel, nie bacząc na niebezpieczeństwa. Od tamtego czasu zmieniłem podejście. Drogą mądrego wojownika jest wiedzieć, kiedy oddać wszystko za swój cel i umrzeć, a kiedy odpuścić i żyć. To miało miejsce właśnie w trakcie ataku szczytowego na Great Trango Tower. Byliśmy na grani szczytowej, a mieliśmy ochotę pójść na wierzchołek. To nie była wspinaczka do góry, tylko trawersem między graniami. Ok. 400 metrów do śnieżnego szczytu, z którego nie da się zjechać. A wrócić też byłoby ciężko. Mielibyśmy szczyt, ale nie dałoby się z niego zjechać, więc pewnie byśmy tam zamarzli. Nowa idea Bushido idealnie się spełniła.

Czy ty się czegoś boisz?

– W życiu boję się pustki, poczucia niebytu, podczas gdy jeszcze się żyje. Jestem typem samotnika, ale takim, który po okresie bycia z samym sobą chce do kogoś wrócić. Im jestem starszy, tym lepiej to pojmuję. Góry nigdy nie były dla mnie najważniejsze, centrum mojego życia toczyło się i toczy do dzisiaj poza nimi. Bardzo możliwe, że dlatego udaje mi się wychodzić z tego cało. Kiedy było niebezpiecznie, mogłem sobie powiedzieć, że zjeżdżam stąd i wracam do domu.

Nowy szef Polskiego Himalaizmu Zimowego Janusz Majer powiedział, że widzi cię w projekcie. Co ty na to?

– Nie widzę siebie jako typowego himalaisty, interesuje mnie przede wszystkim wspinaczka wielościanowa, zmaganie z trudnościami i ekspozycją ściany, a nie jej wysokością nad poziomem morza. To nie jest coś, w czym chciałbym się rozwijać. W kręgu moich zainteresowań jest dynamiczna wspinaczka w stylu alpejskim na niższe szczyty siedmiotysięczne w możliwie jak najlepszym stylu, w małych zespołach, bez wsparcia i całego wyprawowego cyrku. O takich celach rozmawiałem właśnie z Januszem Majerem.

Zakochuję się jedynie w pięknych, strzelistych i niedostępnych ścianach, które wymagają nie tyle sprawnych nóg, ile opanowania do perfekcji sztuki wspinania. Wspinaczka na szczyty ośmiotysięczne rządzi się zupełnie innymi prawami. Możemy być świetnie przygotowani fizycznie oraz technicznie, jednak organizm człowieka stawia fizjologiczne bariery, których nie można przeskoczyć. Jeśli nie mamy odpowiednich predyspozycji, to nie mamy czego szukać w górach wysokich. Do tej pory nie próbowałem sił na żadnym ośmiotysięczniku, nie znam swojego organizmu od tej strony, więc staram się być ostrożny.

Doświadczenie jest kluczem, a jego brak głupotą.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI